

Krystyna Świerczewska

Świat malowany i groźba dyletantyzmu

Stary profesor od rysunków, poeta, n.eco komiczna, dobrodusznia i zarazem obciążająca zmorami perspektywy oraz światłocienia mój nastoletni świat ulegał za długo, niestety, powabom pilnej porządnosci, jakie były wtedy jedynym wyrazem mego talentu malarskiego. Nosiłam z sobą pedzle, szmatki, czyste akwarelki, słoiczki na wodę, nie obszarpane bloki, zatemperowane ołówki i... skrytą pod pulpitem ekierkę; wystawiałam ów malarski kram na widok publiczny z rozkoszą i tajemną wiedzą, że jedna z niewielu, które nie lekceważyła lekcji rysunków. Stary profesor przez pół roku tłumaczył „panienkom” wagę szmatki i numer pedzla, mawiał z czułością: „najmłodsza mała malareczka”. A malareczka chichotała w duszy ze szczęścia, że udało się schować własne nieuctwo za parawanem akcesoriów i by namalować spiczaste liście klonu korzystała z wybuchów szaleństwa profesorskiego na inne nie-malareczki za brak szmatki i miaseczek, z malpą zręcznością manewrowała małą ekierką i liść — precyzyjny przykład geometrycznych poczynań — wylaniał się jak żywy z karty bloku rysunkowego nr 2. Dodam, że do filiżanek i dzbanków znakomicie służył kątomierz, do kółek cyrkiel, do elips — małułka wazka na śledzie, którą wykradało się matce w dni rysunkowych sympozjów. Nie trzeba chyba już uzasadniać, że dziś narysowany kot ma uszy podobne ludzko do ucha filiżanki, pies przypomina raz krowę, raz jaszczurę, a kreśka gnije się nicyzm zjima w swej jadowitej nieudolności.

A stary profesor był podobno niezłym malarzem...

Po co to wszystko piszę, na czele z samooskarżeniem mej młodości? Bo, niestety, nie tylko moje przewiny nie dozwalały mi dziś na narysowanie kociego ucha i nie tylko w moich nastu latach blok, pedzle i szmatki stanowiły podstawy do pozytywnych ocen w szkole. Bo, przy tym syn mój, który kiedyś rysował kolorowe księżycy nad drzewami jak zaczarowane doroczki, dziś walczy z pękatością dzbana jak Za-głoba z Bohunem — fortelami: znów znikają talerzyki z kredensu, wazki na śledzie albo pojawiają się w jego dzienniczku noty dalekie od doskonałości. Bo wreszcie historia kocha się powtarzać, a zmiany obserwują niewielkie.

Ktoś kiedyś powiedział, że mamy najsmądzejsze programy lekcji rysunków, jakimi kiedykolwiek posługiwało się szkolnictwo. Nie wiem, czy najsmądzejsze i nie w nich zresztą upatruję rozkwitu sztuki, ale przede wszystkim w osobowości nauczyciela, w jego indywidualnej metodzie, w jego umiejętności pośredniczenia między rzeczywistym dziełem sztuki a jego młodocianym odbiorcą. Zbyt często jeszcze jednak odbiorca staje się nieudolnym naśladowcą, lichym dyletantem w kopiowaniu dzieła sztuki, czy szerzej, świata dorosłych i jest mu to po-czytywane w szkole za pozytywne osiągnięcie. Ileż bowiem znajomych mam zachłuj stuje się talentem córki czy syna, którzy rysują je na wzór piękności reklamujących biu-stonosze lub lakier do paznokci; jakże powszechne to fałszywe naśladownictwo natury, jej upiększanie manierą dorosłych rzemieślników o niezapręczonych zdolnościach manualnych, które w dodatku sankcjonuje powagą dobrej oceny pani od rysunków.

Mam odwagę stwierdzić zjawisko niepokojąco rozprzestrzenione, że dziecko w szkole tępięje w swoich naturalnych, wrodzonych, danych od

natury umiejętnościach wrażliwości na otaczającą go rzeczywistość. Dziecko zatracca wzruszenia, zatracca wrażliwość, zatracca tę rzadką umiejętność własnego widzenia świata i przedmiotu, wyżywa się dziecięcej deformacji i instynktownego wycucia barwy na rzecz słabiotkiej techniki i bardzo fragmentarycznej wiedzy o rysunku. Urokliwą kompozycję naiwnego artysty zamienia w nieudolną — komponowanie młodocianego dyletanta. Drżąca, naturalną kreskę, użytą w podświadomym przekonaniu, że odda jego spontaniczny zamysł, zamienia na geometryczną linię już świadomie, w fałszywym przekonaniu, że najbardziej ona zbliżona do wymogów techniki rysunku.

Oczywiście, że nie wyczerpalabym ani na 5 stronach maszynopisu szkół wyrządzonych przez nadmierne trzymanie się programu, przez sztywne ograniczanie się wielu pedagogów do planu lekcji, który dzieściolatkom zaleca tłumaczenie zasad perspektywy, trzech planów, kompozycji i tym podobnych arcy-trudnych rzeczy, z jakimi nawet absolwenci Akademii Sztuk Pięknych nie zawsze przecież radzą sobie pozytywnie. I bez żadnej przewrotności ani niedojrzałej rozbieżności sądów powiem, że dobrze to wytłumaczyć te sprawy nawet już dzieściolatkom; ale wytłumaczyć, wyjaśnić, a żądać wykonania — to naprawdę dwa bardzo różne zagadnienia. I o nie, o tę właściwą eksplicację programu — cały czas wiodę spór z przeciwnikiem, o którym wiem, że z góry podaje się, z góry jest przegrany. Z góry także — z wielu rzeczy usprawiedliwiony.

Kształceniem nauczycieli rysunków zajmują się praktycznie Studia Nauczycielskie, teoretycznie — Akademia Sztuk Pięknych i niektóre wydziały uniwersyteckie. Dlaczego te ostatnie tylko teoretycznie? — Bo niewielu spotkać w Polsce nauczycieli, nawet liceów, po akademii, bo żaden plastyk zawodowy przy zdrowych zmysłach nie przełoży nauczycielskiej pensji i nie bójmy się truiżmów — znoju, nad rozkosze tworzenia i to intratnego tworzenia, bo-daj plansz reklamowych czy innych usług w tym zakresie, które oferuje im Polska jak długa i szeroka. A 2-letnie Studium Nauczycielskie? Dysponuje materiałem uczniowskim po szkole średniej, która na ogół artystów nie wypuszcza...

Jeszcze jedna anomalia, pokutująca w naszym systemie szkolnictwa artystycznego — średnie szkoły plastyczne (dwie w województwie rzeszowskim: w Sędziszowie i Jarosławiu) nie wypuszczają, niestety, absolwentów z prawem nauczania w szkołach podstawowych i obowiązują je, jak każdego absolwenta szkoły średniej, nauka w SN-ach. Mówię w tej sytuacji o dysproporcjach wiedzy z tego zakresu między jednym maturzystą a drugim, którzy spotkali się ponownie w SN-ie, byłoby chyba rzeczą nieprzystojną...

Problem nowo zorganizowanych liceów rysuje się przed rzeszowskim Kuratorem jako tragiczna w skutkach zbrodnia; bo i skąd wziąć, przy istniejącym stanie 300 zaledwie nauczycieli rysunków, następne 9 setek i to nauczycieli z pełnymi kwalifikacjami, o które przecież Kuratorium walczy nieustannie? W najlepszym razie rzeczywistość będzie taka, że spróbuje się tę dziurę załatać absolwentami SN-ów i dalej rumieć za ich niepełne wykształcenie.

Zdzisław Kozioł

Wyjątkowo cennym, wprost unikalnym spośród innych parków będzie Bieszczadzki Park Narodowy. Ta zgodna opinia przedstawicieli nauki oraz praktyków już od 15 lat toruje sobie drogę do miarodajnych czynników. W licznych petycjach i memoriałach podkreśla się znaczenie społeczne, gospodarcze i naukowe przyszłego Parku, który obejmie najciekawsze partie Bieszczadów Zachodnich.

W KRÓLESTWIE PULPITA

Postulat utworzenia Bieszczadzkiego Parku Narodowego jest naukowo wszechstronnie uzasadniony; w znanych mi pracach zawarto swego rodzaju program badań geobotanicznych, florystycznych czy faunistycznych o dużej przydatności praktycznej. Wspomnę o ciekawym dziele wydanym pod redakcją profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Władysława Szafera (notabene wychowanka rzeszowskiego gimnazjum) — „Ochrona przyrody i jej zasobów”; jeden z rozdziałów, napisany przez prof. Zygmunta Czubińskiego, traktuje o parkach narodowych i rezerwach przyrody w Polsce.

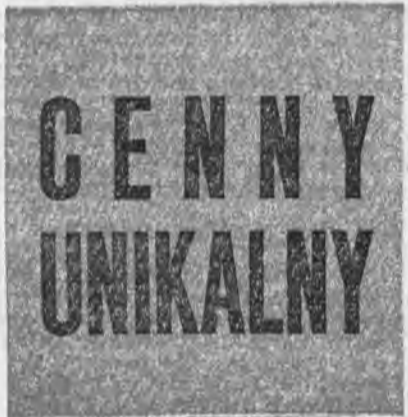
„Bieszczadzki Park Narodowy — stwierdza prof. Czubiński — zajmuje specjalną pozycję jako obiekt wyjątkowo cenny, wręcz unikalny, tak ze względów naukowych, jak i turystycznych. Jego wyjątkowe walory polegają na tym, że skupia na swym obszarze jedyne w granicach naszego kraju stanowiska rzadkich wschodniokarpackich gatunków flory i fauny oraz wschodniokarpackie, endemiczne zespoły roślinne i zbiorowiska zwierząt, a także niezwykle bogate i zróżnicowane, a przede wszystkim bardzo zamienne dla tego obszaru układy biotopów”.

Nie sposób pokrótce omówić osobliwości fauny i flory Bieszczadów. Wynikają one w dużej mierze z braku górnego regla świerkowego; połoniny sąsiadują bezpośrednio z piętniem lasów bukowych, co jest osobliwością w skali europejskiej. Odmienny układ flory warunkuje także odmienny układ pionowy zwierząt, lecz pod względem faunistycznym Bieszczady stanowią najściślej poznana część polskich Karpat. Żyje tu m. in. niedźwiedź, ryś, żbik, jelen karpcki, dzik, wilk i in.

Ostatnio rozmnożyły się drapieżniki. Podobno żbiki skrzyżowały się z kotami domowymi. Inni twierdzą, że krzyżówka nie nastąpiła; to koty zdziwały upodobniając się do żbików. Wspominam o tym dla podkreślenia jeszcze jednego waloru Bieszczadów; długoletnie nieingerowanie człowieka w przyrodę stwarza warunki do wszechstronnych badań w zakresie ekologii roślin i zwierząt. Uczonych interesują np. procesy regeneracyjne i sukcesyjne szaty roślinne, niezwykle w tym rejonie żywotnej. Utworzenie Parku umożliwi również podjęcie du-

gotrwałych badań nad górną granicą lasu i zmianami roślinności połonin nie wypasanych. Słowem prawdziwy poligon badawczy o dużym znaczeniu dla gospodarki leśnej, hodowlanej i rolnictwa.

Chociażby problem przebudowy drzewostanu. Obecnie zalesia się grunty porolne, lecz właściwie nikt nie wie, jakie gatunki drzew w tych warunkach, na niegdyś uprawianej glebie należy sadzić. A lasy w Bieszczadach mają szczególne znacze-



nie; nie tylko są źródłem surowca, lecz spełniają także ważną rolę ochronną, przeciwdziałają erozji, regulują stosunki wodne. San czerpiący z Bieszczadów swe wody decyduje o stanie wody w środkowej Wiśle.

Problemów zresztą wylania się więcej; Bieszczadami interesują się uczeni z różnych ośrodków, że wymienię krakowski, poznański, lubelski czy Polską Akademię Nauk.

Ten aspekt zagadnienia podkreślam dlatego, gdyż widoczne są już skutki działalności człowieka, który bądź nie przewidział różnorodnych następstw, bądź nie umie racjonalnie korzystać z zasobów przyrody, bądź też lekkomyślnie ingeruje, naruszając niepotrzebnie naturalne warunki. Mówiąc o nieumiejętności korzystania z zasobów przyrody mam na myśli gospodarkę hodowlaną, zwłaszcza sezonowy wypas owiec, które więcej trawy niszczą niż zjadają; jest to problem szerszy, wymagający odrębnego potraktowania. Wspomnę tylko, że podhalańscy bacowie i juhasi ogóścili Bieszczady z co szlachetniejszych gatunków drzew, ich owce zaś nie oszczędzają terenów świeżo zalesionych, powodując znaczne straty.

Inny przykład. Tamtejsze potoki słygnęły z pstrągów. Na budowę dróg eksploatowano kamienie i żwir z dna, niszcząc naturalne środowisko pstrągów. Ocalały one w wodach na terenie projektowanego Parku. Jest to o tyle ważne, że z tych terenów wpływają potoki i strumyki, a jak wiadomo ryby łososiowate, na okres tarła płyną w górę rzek, do źródeł.

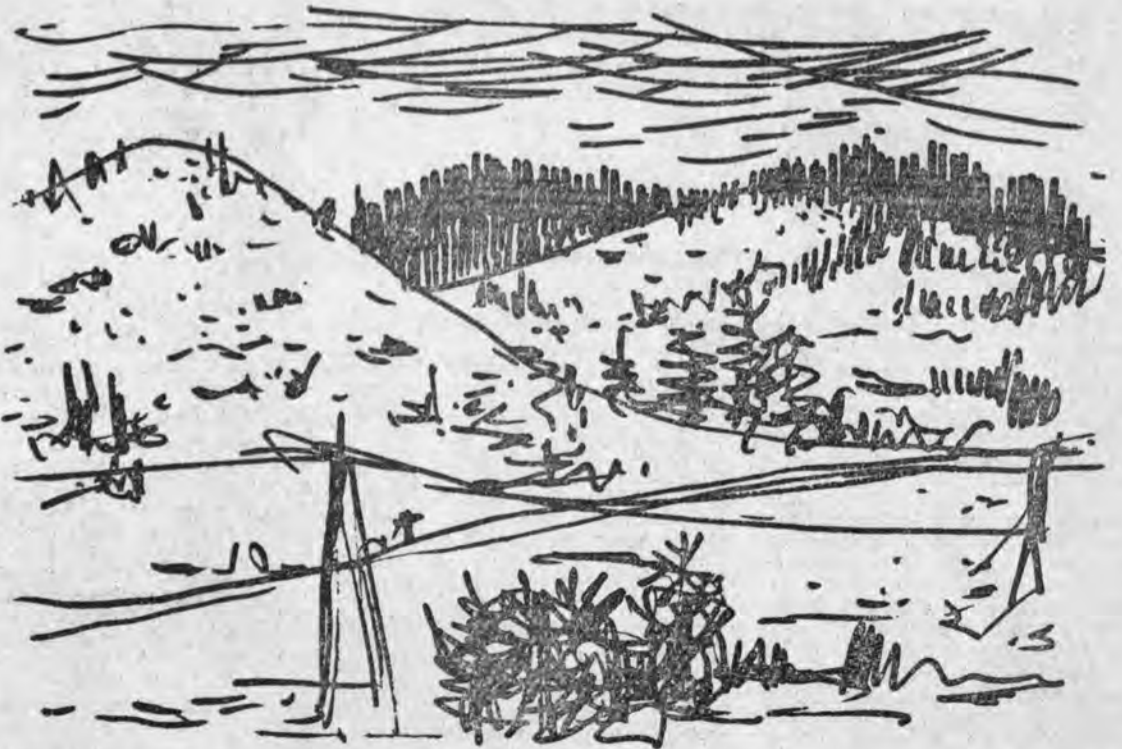
Czasami człowiek chce „ulepszać” przyrodę. Pewien domorosły reformator zaproponował przenieść w Bieszczady turówkę wonną, zwaną pospolicie żubrówką, której łodygi podnoszą walory wyrobu monopolu spirytusowego. Turówka w Bieszczadach nigdy nie rosła. Są natomiast żubry, które przywiezione przed kilku laty zdołały się zaaklimatyzować, odznaczają się wspaniałą kondycją fizyczną. Skoro już o żubrówkach mowa, to w pierwszym rzędzie o Pulpicie — mimowolnym bohaterze prasy, radia i telewizji. Podobno Pulpit nadal przebywa w Bieszczadach, a w sianą samotną wędrowkę udał się Pulon, którego Pulpit pokonał. Wędrujący żubr zmierzał w kierunku Puszczy Niepołomickiej, skąd właśnie pochodzi Pulon. Zwycięski Pulpit króluje w Bieszczadach, przynajmniej nad stadem żubrów, które wykazuje niewielki przyrost naturalny, co moi rozmówcy przypisują sędziwemu wiekowi przewodnika.

Tę ciekawostkę wraz z komentarzem odnotowuję na zasadach: „za ile kupił, za tyle sprzedał”, lecz sprawy, które zasygnalizuję bez pretensji do wyczerpującego omówienia są o wiele poważniejsze. Chociaż w bieszczadzkim stadzie jest nieproporcjonalnie dużo byków i na świat też przychodzą żubrząta płci męskiej, to jednak w przyszłości należy liczyć się z wydatnym zwiększeniem pogłowia. W ogóle dzikie zwierzęta kopytne mają w Bieszczadach sprzyjające warunki; nie-liczne kiedyś jelenie szybko się rozmnożyły.

Zachodzi więc konieczność zapewnienia im bezpieczeństwa, pogodzenia wymogów ochrony z potrzebami gospodarki hodowlanej. Dzikie zwierzęta pośrednio lub bezpośrednio stykają się z bydlęciem domowym, zwłaszcza owcami. Stwarza to podobno możliwość zarażenia przyszczyką dzikich zwierząt kopytnych, a epidemia przyniosłaby katastrofalne skutki.

Tych głosów nie wolno lekceważyć. Ewentualnej epidemii można zapobiec rygorystycznie przestrzegając przepisów sanitarnych w hodowli bydła, a także rezygnując z wypasania w pobliżu żerowisk żubrów czy jeleni. Dla uniknięcia strat gospodarczych, można przecież trawę kosić, lecz podhalańscy górale wypasający tu owce sezonowo, nie

CIĄC DALSZY NASTR. 2



BIESZCZADY

Rys. J. SIENKIEWICZ

Cenny, unikalny

(Ciąg dalszy ze str. 1)

są zainteresowani gromadzeniem siana na zimę.

Trzeba w ogóle rozważyć praktyczną stronę ochrony zwierząt dzikich. Weźmy chociażby niedźwiedzie, które szybko się rozmnożyły po zakończeniu działań wojennych. Poczciwy miś jest z reguły roślinożerny, ale wiosną, po zimowym śnie urozmaica swe menu bogatym w białko mięsem, potrzebnym do regeneracji sił. Gdy ofiara padnie zwierzę domowe, niedźwiedzia obdarza się epitetem rozbójnika, podnosi krzyk o zagrożeniu mienia i życia osadników. Słyszałem wręcz anegdotyczną wersję korespondencji na ten temat. Otóż z Bieszczadów wysłano do Warszawy dramatycznie brzmiący telegram: „Niedźwiedź rozszarpał jałówkę! Co robić?” Adresat miał podobno powiedzieć: „Dać mu drugą”. Nie będę wnikał w szczegóły tej sprawy, ale nie można przecież ignorować narastającego konfliktu między człowiekiem i przyrodą...

MEMORIAŁ DO MINISTRA

Wiele problemów rozwiąże utworzenie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Jak już wspomniałem, agencja za Parkiem trwa już od 15 lat. Z koncepcją jego utworzenia wystąpił w 1953 roku krajoznawca Władysław Krygowski, a przyrodniczo projekt uzasadnił Władysław Grodzinski i Stanisław Lisowski. W 1957 roku Stanisław Lisowski, pisząc o możliwości prowadzenia w Bieszczadzkim Parku Narodowym długofalowych badań, twierdził, że z uwagi na pierwotność przyrody, będą one wyjątkowo ważne. Postulował, by decyzję o utworzeniu Parku podjąć jak najszybciej z uwagi na grożące tym terenom zniszczenie.

W 1965 r. prof. Czubiński w cytowanej już „Ochronie przyrody i jej zasobów” pisze: „Wszystko przemawia za pilnością utworzenia Bieszczadzkiego Parku Narodowego zanim jeszcze przez intensywne zagospodarowanie i eksploatację lasów oraz rozbudowę sieci dróg Bieszczady nie stracą swych wprost unikalnych wartości, jakie dziś jeszcze posiadają”.

W tymże roku Powiatowa Rada Narodowa w Ustrzykach Dolnych, a później — Prezydium WRN podjęły odpowiednie uchwały. Dla utworzenia Parku potrzebne jest jednak rozporządzenie Rady Ministrów, wydane na wniosek ministra leśnictwa i przemysłu drzewnego. Sprawa znowu utknęła na martwym punkcie, o czym w memoriale do ministra leśnictwa i przemysłu drzewnego pisze Komisja Ochrony Przyrody Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Leśnego. Memoriał ten, opracowany w czerwcu ubiegłego roku, z wielu względów zasługuje na uwagę. Jego autorzy — naukowcy i praktycy — przypominają 15-letni okres starań, powołują się na opinie publiczną, podsumowują dotychczasowe ustalenia nauki i do watorów Parku oraz stwierdzają, iż dążą do pogodzenia „interesów gospodarczych z potrze-

bami społecznymi i kulturalnymi, a tym samym znalezienia sposobów wyjścia z zastojów, w jakim znalazła się sprawa utworzenia Bieszczadzkiego Parku Narodowego”.

Istotnie, Komisja Ochrony Przyrody ZG PTL godzi wspomniane interesy: proponowane granice Parku zabezpieczą potrzeby społeczne, naukowe i wymogi ochrony przyrody, a równocześnie nie przyniosą doraźnych strat w gospodarce leśnej przez wyłączenie tych terenów z normalnej eksploatacji. Wytaczając granice, odstąpiono od dawnych założeń zakładających nieuzasadnione duży obszar Parku. Obejmuje on najbardziej interesujące pod względem naukowym, krajoznawczym i turystycznym obszary Bieszczadów Zachodnich: połoniny Szerokiego Wierchu i Tarnicy, Bukowego Berda, Krzemieńca i Halicza po Rozsypaniec i Kańczyk Bukowski oraz Połoninę Caryńską wraz z otaczającymi ją lasami.

W sumie powierzchnia Parku wyniesie 7 544 ha, w tym 5 273 ha lasów i innych gruntów nadleśnictwa Stuposiany i Tarnawa. Są to w dużej mierze lasy wodno- i glebochronne, przeważnie buczyny grzbietowe, karłowate i nisko ugałęzione, a więc o zmniejszonej wartości użytkowej.

Względę gospodarce podkreśliłem dlatego jeszcze raz, bo one rodziły obawy, że utworzenie Parku przyniesie straty w postaci wyłączenia tych terenów z eksploatacji. Memoriał powinien rozwiać te obawy, przekonywając bowiem uzasadnia korzyści, w tym także gospodarce, wynikające chociażby z rozwoju turystyki krajowej i zagranicznej, wpływu na osadnictwo itp.

A JEDNAK OBAWY

W Bieszczady wyjechałem z Wojewódzkim Konserwatorem Przyrody inż. Ludwikiem Szydełką i prezesem Zarządu Okręgu Ligi Ochrony Przyrody Stanisławem Goleńcem. W Lesku dołączył do nas miejscowy działacz LOP Eugeniusz Lenart. Chcieliśmy się zorientować w rozmiarach eksploatacji lasów przewidzianych do włączenia w obszar Parku.

Tereny te od 5 lat są eksploatowane. Wiele zabiegów jest niewątpliwie koniecznych, np. sporo buczyny przekroczyło wiek, po którym drewno traci na wartości. Ponadto buki te zacieśniając powodują usychanie młodych drzew. Eksploatacja, zalesianie czy zabiegi sanitarne odbywają się według założeń 10-letniego planu na lata 1961/62 — 1971/72, którego autorzy nie przewidzieli powstania Parku. Działalność gospodarca rodzi obawy, że Bieszczadzki Park Narodowy straci sporo ze swych walorów, a nawet trzeba się liczyć z nieodwracalnymi zmianami. Czas więc najwyższy podjąć ostateczną decyzję, a w pierwszym rzędzie wyłania się konieczność wstrzymania wszelkich zabiegów na tych kilku tysiącach hektarów lasów.

ZDZISŁAW KOZIOL



Baranów

Fot. M. KOPEC

Świat malowany i groźba dyletantyzmu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Problem więc dotyczy dwóch sfer: pedagogicznej i artystycznej.

Domaga się poza tym jedynego sensownego rozwiązania, by to ostatnie środowisko, na zasadzie już pracy społecznej, śpieszyło pójść z pomocą szkole własną fachowością; było głosem doradczym w sprawach najtrudniejszych — słowem, przejęło się ideami artystycznymi na tyle, by pojąć naukowo sprawdzoną prawidłowość, że jako twórca, jaki pedagog — taki odbiorca.

Szkola dysponuje czasem dwóch godzin tygodniowo, by tego odbiorcę i ewentualnie przyszłego twórcę przygotować wstępnie. Nie bez intencji kładę odbiorcę przed twórcą. Przede wszystkim dlatego, że wydaje mi się rzeczą mniej ważną, czy mój syn będzie znał technikę rysunku w granicach poprawnego rzemiosła; natomiast rzeczą pierwszej wagi jest dla mnie rozbudzenie jego wrażliwości i rozumienia dla sztuki. A tego, śmiem twierdzić, szkoła nie daje swoim uczniom. Na pewno wina leży w owych dwóch godzinach tygodniowo, ale na pewno także w potencjalnych możliwościach nauczyciela, jako przewodnika po świecie sztuki, jako jej admiratora i człowieka ją rozumiejącego.

Cała wielka domena oddziaływania sztuki mieści się przecież w dwóch pojęciach: upowszechnianiu i uprzystępnianiu. To pierwsze — zamyka się w działalności Biur Wystaw Artystycznych, reprodukcjach Domu Książki, krótko — w całej propagandzie wizualnego oddziaływania sztuki, jaką uprawia nasze państwo w sposób — niemałże doskonały (jeśli przesadziliśmy, to tylko na zasadzie porównania tej

propagandy z przedwojenną i tłumaczyć nic dalej nie muszę; uprzystępnianie, owo wytworzenie nie tylko zainteresowania, ale zapotrzebowania na sztukę, przede wszystkim zaś jej rozumienie, zdolność właściwego spostrzegania można realizować tylko poprzez metodę dydaktyczną.

Ten o wiele trudniejszy od pierwszego proces, polegający na uczeniu się języka sztuki jak każdego innego języka obcego, gdzie gramatyka powinna być kompozycja, semantyką — temat czy forma, wymaga tak niezwyklej aktywności wychowawczej, jakiej do tej pory szkoła jeszcze nie wypracowała. Śmiem twierdzić ponownie, że mało mamy pedagogów, którzy umieliby zająć pozycję pośredników między twórcą a uczniem, którzy umieliby przełożyć na język, na słowo, tak przełożyć niedoskonałe i niedokładne — obraz malarza.

W tej skąpej ilości czasu, jakim rozporządza nauczyciel, kiedy ledwie starcza na rozwijanie minimalnych umiejętności technicznych w odniesieniu do rysunku artystycznego nie ma miejsca dotychczas na rozwijanie wyobraźni, smaku artystycznego, wrażliwości na piękno, słowem — nie ma miejsca na wychowanie estetyczne. A przecież o nie bije się szkoła i społeczeństwo i ono stanowi klucz do kształcenia odbiorców sztuki.

Dlatego pozostaje tylko włączyć do poziomu wiedzy i kultury samego nauczyciela, w jego umiejętności przerzucenia wagi z nieudolnie wypakowanego światłocienia nastolatka na zrozumienie jego piękna na przykład w dziełach szkoły niderlandzkiej. Przemieszczenie punktu zainteresowania z pękatego dzbanka czy innej martwej natury,

rysowanej bez zapalu i emocji (czyż bez tego można mówić o sztuce?) na wewnętrzny świat dziecka, na jego w i a s n ą rzeczywistość dziecięcą, bogatą w wyobraźnię i wrażliwą na kolor. Wierzę, że tak widzący swoją rolę nauczyciel rysunku może nie da społeczeństwu przyszłych Rembrandtów, ale tego jednego, wielkiego, który był, nauczyciel rozumieć i podziwiać w kategoriach estetycznych. I to wystarczy.

Uwagi powyższe nasunęły mi się po wysłuchaniu obrad sejmiku plastycznego, jaki odbył się niedawno w naszym województwie przy współudziale nauczycieli oraz innych środowisk twórczych. I choć padały tam projekty różnorakie, jak utworzenie Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, jak ekspansja malarstwa na wielkie zakłady przemysłowe, jak walka jeszcze bardziej konsekwentna z tandetą wystaw, z brzydotą wewnętrzną elewacji, słowem z brzydotą, która otacza nas na co dzień — wydaje mi się, że najważniejsze zagadnienie, przewijające się nieustannie w obradach, dotyczyło tej powszechnej fali wychowania nowego odbiorcy już w podstaw budzenia się jego świadomości — w szkole. Z chwilą wypuszczenia w świat dojrzałych estetycznych absolwentów — sprawa percepcji sztuki, konieczności włączenia jej w zwykłą codzienność przestanie istnieć jako zagadnienie. A to wcale nie jest utopia; pod warunkiem, że dostarczymy rzecz w porę i na nią skierujemy gros zainteresowania. Bowiem — jak to powiedział kiedyś znany pedagog Stefan Szuman — kultura estetyczna społeczeństwa zależy nie tylko od tego, czy dany naród wyłonił z siebie wybitnych artystów, wielkich twórców, lecz nie mniej od tego, czy ich dzieła w danym narodzie i wśród ludzi na całym świecie znalazły oddźwięk, czy zaistniało i nadal trwa zapotrzebowanie na te dzieła, czy pomagają żyć i radować się życiem każdemu człowiekowi.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

ZBIGNIEW ZIEMBOLEWSKI



Ledwie staną w drzwiach, zasypana go wymówkami. — Gdzie łaziesz? Pewnie znowu na zebraniu! Zamiast czepić się roboty, on wciąż obraduje! Jak minister! Życ z tego będziesz? Dzieci mi naklepał, lecz nie go nie obchodzi, co im do gęby włożyć!

Jakby na potwierdzenie tych słów, zapłakała dziewczynka bawiąca się na podłodze, za chwilę za wtórowała jej niemiowle w drewnianej kółce na wysokich nogach. Milczał. Cóż mógł jej odpowiedzieć? Miała rację, chociaż nie tylko oni jedni wzięli ledwie koniec z końcem. Ciężko żyło się ludziom w Przemyslu. O pracę było trudno. Okupant zniszczył fabryki, wywiózł maszyny. Przed urzędem pośrednictwa pracy wyciekowały

dużgie kolejki interesantów. Chodził tam również.

— Z nieba pan spadł? Pracę w Przemyslu? To cmentarz, nie miasto — wydział urzędnik. — Biadolenie o wściekającej się żonie i głodnych dzieciach nie robiło na nim wrażenia, słuchał się tego dosyć. — Mogę skierować na Ziemię Odzyskaną — przerywał. Czekała na ludzi we Wrocławiu, Szczecinie, Zielonej Górze. Dobrze pan zarobi, zapewnione mieszkanie. No jak, piśać?

Dwa razy propozycji nie przyjął. Zdecydował się za trzecim, lecz i tak nie pojechał. Sprzeciwiła się żona. Bała się podróży, nowych ludzi, niepewnej przyszłości. Dawała wiare pogłoskom o bliskim wybuchu trzeciej wojny. Zżymał się, piekił, lecz ustąpił.

W mieście szalała drożyzna. Trudno było o chleb, tłuszcz, opał. Węgiel można było nabyć tylko od złodziei. Kradli go na trasie z pędzących ku granicy pociągów. Za ryzyko drogo kazali sobie płacić. Stare kobiety szargały na plecach zza Prądkowic wiązki suchych gałęzi. Szły wolno, zgarbione ku ziemi, kłęły swój los, lecz nie pozwalały wyrzucić się młodym. W lasach grasowali nacjonalisci spod znaku UPA. Starszym nie groziło, a młodym... przy drodze do Birzy znaleziono zamaltretowane ciała trzech dziewczyn. Sanem płynęły trupy. Nie było dnia bez pogrzebu, nie było nocy bez pożaru. Grzebano żołnierzy, milicjantów, ormowców, oplakiwano kobiety i dzieci. Do miasta ściągali uciekinierzy ze spalonych przez banderowców wsi — pojedynczo, grupami, z dobytkiem lub bez, z tym tylko, co mieli na grzbiecie.

Zaczął handlować. Coś tam kombinował z radzieckimi żołnierzami wracającymi z Niemiec do ojczyzny. Nie wychodziło. Brakowało mu do tego sprytu. Znowu obszedł fabryki i wrócił z niczym. Ze zdechłej na różycę, a zakupionej za pół darmo od chłopca maciory, zrobił domowym sposobem kilkadziesiąt kilogramów mydła. Poszło od ręki. Rynek był chłonny na ten artykuł. Zarobek, choć niewielki, wystarczał na życie, pozwalał przetrwać.

W wolnych chwilach chodził na wiece, które organizowano przy by-

le okazji. Pewnego dnia zaciągnął go ktoś na zebranie do Polskiej Partii Robotniczej, ktoś inny namówił do wstąpienia w jej szeregi. I tak się zaczęło. O pustym żołądku, z wypiekami na twarzy on i jego podobni dyskutowali godzinami nad przeobrażeniem świata, wymyślali niespełnione tortury na spekulantów, którzy na ludzkiej niedoli zbijali majątki, zastanawiali się nad tym, czy Chrystus był komunistą, rozprawiali z wojskowymi o sposobach walki z bandami nacjonalistów ukraińskich, brali udział w pogrzebach poległych żołnierzy, werbowali nowych członków do partii. W czerwcu 1946 roku pisali czerwoną farbą na murach kamienic: „Trzy razy tak — Polaka znak!”, w styczniu 1947 roku rozlepiali ulotki przedwyborcze, agitowali na rzecz Polskiej Partii Robotniczej i bloku, namiętnie zwalciali PSL, wieszali psy na Mikołajczyku i londyńskiej reakcji.

Mijały miesiące. W marcu 1947 roku w Jablonce koło Baligrodu zginał generał Karol Świerczewski. W dzień później Aleksander Pochyło wstąpił do ORMO, by wraz z żołnierzami i milicjantami gasić pożar, który od kilku lat niszczył południowo-wschodnią część Polski. W Komendzie Powiatowej ORMO dano mu buty i automat. Gdy wrócił do domu, żona na pierwsze nie zwróciła uwagi, chociaż były nowe, unrowskie i miały czerwony odcień, zatkała ją na widok automatu.

— Po co to przyniosłeś? W wojsku nigdy nie służyłeś, nie umiesz nawet z tym się obchodzić!

— Umie! Nauczyl. Należę do Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

— Jeszcze tego brakowało! — zalamala ręce. — Zabijaj go! I tak sąsiedzi patrzają wilkiem na ciebie i tę twoją partię, za plecami od czerwonych bolszewików wyzywają! Nowego guza szukasz? — Zmęczone niedostatkiem i wiecznymi kłopotami, zdenerwowana i pełna obaw o męża, nie rozumiejąca jego postępowania, wybuchnęła płaczem. Nie próbował jej uspokoić, zbierała w nim złość na trudne życie, babę i jej krakanie. Wyszedł z mieszkania, nie odezwał się słowem.

Wrócił wieczorem. Na temat ORMO już nie rozmawiali. Automat wisiał nad łóżkiem, obok ukrywanego Chrystusa. By udobruchać żonę, gotował z nią mydło w kociołku do prania, zlewał kipiącą, szarą maź do blaszanych rynienek, a gdy wystygła kroili na kostki i niósł sprzedawać na rynek. Po tygodniu przepadł. Przez kolegę przekazał wiadomość: — Wyjechałem na akcje. Domyśliła się, że chodzi o bandy. Od tego czasu w domu stał się gościem. W czasie krótkich i rzadkich wizyt opowiadał o walkach z sotniami Lastiwki, Burłaka, o opuszczonych wsiach, o osadnikach przyjeżdżających w okolicie Przemysła z Przeworska, Brzozowa, Łańcuta, Rzeszowa. Na podstawie tych ogólnych, bezosobo-

Poezja radziecka 1966

Korespondent TASS Włodzimierz Szkunow pisze: Miniony rok zakończył się w Moskwie wielodniowym świętem poezji, którego ukoronowaniem stał się wielki wieczór w Pałacu Sportu, gdzie kilka tysięcy osób słuchało recytacji wierszy.

W 1966 r. ukazało się sporo zbiorów poezji, chwalonych przez krytyków i rozchwytywanych przez czytelników, sale na wielu wieczorach poetyckich były przepełnione, pojawiły się nowe talenty. Mikołaj Tichonow, który niedawno, jako pierwszy z radzieckich literatów, otrzymał tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej, powiedział, że to wysokie wyróżnienie przeznaczone jest dla całej radzieckiej poezji.

Charakteryzując miniony rok — pisze Szkunow — należy zwrócić uwagę na wzrost popularności radzieckiej poezji za granicą i coraz częstsze wizyty zagranicznych poetów w Moskwie.

Podobnie jak w poprzednich latach, także w 1966 r. ukazało się wiele wydań utworów radzieckich poetów. Wydawnictwa moskiewskie opublikowały około półtorej setki tomów jedynie współczesnych poetów rosyjskich. Były wśród nich obszerne zbiory w nakładzie od 10 do 100 tys. egzemplarzy, jak też małe tomiki wybranych liryków, mające często nakład 150 tys. egzemplarzy.

W ostatnim okresie wielką popularność zdobyli Włodzimierz Sokolow i Nowełła Matwiejewa. W ich wierszach czytelnik nie znajduje już tych aktualnych problemów, które przynosiły tak szybką sławę poetom przed 5—7 laty. O wierszach Sokolowa, uderzających głębią uczuć, wyrażali się niezwykle pochlebnie liczni poeci i krytycy. Chociaż Matwiejewa stała się „zawodową” poetką stosunkowo niedawno, na jej nową książkę „polowano” w księgarniach z nie mniejszą energią niż na książki najbardziej popularnych autorów. Wiersze Matwiejewej uderzają oryginalnością, liryzmem, swoistym rytmem. Tworzy ona do nich muzykę i pieśni swe wykonuje na estradzie.

Jewtuszenko wydał w 1966 r. dwa zbiory. Jego popularność wyszła już daleko poza granice Związku Radzieckiego, o czym świadczy choćby podróż po USA. Choć często jest krytykowany za niechlujny styl, z pewnością należy obok Andrzeja Wozniesińskiego do najbardziej popularnych radzieckich poetów.

Z żywym zainteresowaniem i ciepłym przyjęciem czytelników spotkały się w minionym roku wznowienia utworów mistrzów starszego pokolenia: Pawła Antokolskiego, Leonida Martynowa, Jarosława Smielakowa. Każdego z tych poetów cechuje oryginalność, dojrzałość warsztatu i myśli, przenikliwość i subtelne wyczuwanie słowa.

STANISŁAW PIĘTAK

Wkrótce minie 3 rocznica tragicznej śmierci Stanisława Piętaka. Szkicem biograficznym i wyborem wierszy chcemy przypomnieć sylwetkę tego znakomitego poety ściśle związanego swą twórczością z ziemią rzeszowską.

Stanisław Piętaś urodził się 3 sierpnia 1909 roku w Wielowsi pod Tarnobrzegiem w rodzinie wiejskiego cieśli. Dom rodzinny i środowisko, w którym spędził dzieciństwo i wczesną młodość, wywarły ogromny wpływ na jego twórczość, stały się źródłem wszystkich niemal tematów, motywów i obsesji pisarskich.

Początek twórczości Piętaka przypadł na lata ożywionego ruchu literackiego w Polsce, kiedy rozwinęły się działalności liczne ugrupowania awangardowe. W 1934 roku ukazał się jego pierwszy tom poetycki pt. „Alfabet oczu”, bardzo przychylnie przyjęty przez krytykę. Piętaś debiutował w atmosferze nowatorstwa jako poeta nowoczesny, przez żywotność obrazowania i mocno zmetaforyzowany język, zrywający z tradycyjną poetyką. Zbliżył się do tzw. Awangardy Lubelskiej, a szczególnie do jej duchowego przywódcy, Józefa Czechowicza, z którym serdecznie się zaprzyjaźnił. Jemu też głównie zawdzięczał swój kilkuletni pobyt w Warszawie. Wydał tu dalsze zbiory poezji: „Legenda dnia i nocy”, „Ziemia odpływa na zachód” i „Obłoki wiosenne”. Ugruntowały one pozycję literacką Piętaka i określiły jego profil poetycki.

Główne motywy tej poezji — to krajobraz i dom rodzinny, rodzice, a nade wszystko dzieciństwo i wczesna młodość poety. Przeżyciom emocjonalnym tego okresu nadał niezwykle sprężoną tonację emocjonalną. Ostre, drapieżne widzenie poetyckie łączyło w sobie zachwyty nad

światem i głębokie zwątpienie, szczęście i rozpacz. Ta gwałtowna amplituda uczuć i postaw stała się najbardziej charakterystyczną cechą jego poezji.

Poezję jego, podobnie jak prozę charakteryzuje i wyróżnia jedna genialna cecha: połączenie elementów epiki i liryki. Tak ukształtowana poetyka ma niewątpliwie swoje źródła w dyspozycjach biograficznych poety, jak również w jego głębokiej fascynacji mądrością i poezją ludową. Tworzyłem jego poezji są najbardziej pierwotne, elementarne uczucia, znane i bliskie każdemu człowiekowi. „Tam, gdzie krzyżuje się zachwyty ze zwątpieniem, szczęście z rozpaczą — tam są poezje moje” — mówi w „Portretach i zapiskach”. Piętaś operuje konkretnymi znaczeniami i wyrazistymi realiami, a jednocześnie odrealnia je i uogólnia poprzez nasycenie spotęgowane aurą emocjonalną. Rzuca to na oryginalną składnię i szeroką frazę wiersza, nadając mu jednocześnie wielką prostotę i precyzję.

Twórczość Piętaka jest w tak wysokim stopniu autobiograficzna, jak chyba żadnego innego pisarza. Nie podlega żadnym wpływom, stanowi na wskroś oryginalne, choć nie w pełni docenione za życia poety, zjawisko w literaturze polskiej.

W ostatnich latach życia wrócił Piętaś do źródeł swojej wyobraźni poetyckiej, reprezentowanej najpełniej przez pierwsze zbiory poezji, czyli do tematyki domu rodzinnego i przeżyć okresu dzieciństwa i młodości, konfrontując je — po latach doświadczeń — z przeżyciami wieku dojrzałego.

(Z postawia do Poezji Zebranych Stanisława Piętaka — LSW — Warszawa 1964 r.)

Zmierzch nadchodził

Scieżka czaru. Chmury jak białe konie piją u wysokich sosen.

Tyle rzeźwego tchnienia, o bure pnie trzepocą złote świece.

Leżą na wznak. Wiatr popędza mgłę — jagnięta bosa.

Czy ta wieś przeczysta, czy to ja w zamiecie szumu leczę?

Zaczekaj! Dziewczyna w siwej chustce stanęła nad potokiem.

To włosy jej płowe grają w głębinie tę nutę.

Zaczekaj! Mały kotek igra na ścieżce z żółtym, słonecznym

okiem.

Te szyby u wyraju, te dymy muzyką są przeklute.

O ziemio nizinna, o lesie — na gnadym koniu

wychynał zza chmur księżyc, obłok u nóg zagasił dziewczynie.

Tu las czarny, a tu białe echa, białe ptaki niosą się po błoniu.

O, bądź pochwalony dniu, nim miniesz.

Z powrotem w Wielowsi

Kłosa żalu, jak pochylić przed wami ten wieczór uniesiony szymbami zmierzchu nad drzewa ojczyste i nad pole?

Oto znów za stodołami wśród zapachu strzech, wiatru i nizin stoję. I dobrze mi, bo w uszach i nad głową dźwigam pojęciem żab zmaconą białą drogę.

Słowa zgryzoty, pamięć dni przebytych wśród huku dalekich miast — to wszystko mija — odpływ więdącego nad horyzontem obłoku. Cisza pól jest jak hymn porannej mgły. Ona i najcięższą gorycz splotcze tchnieniem nieobjętego ni w słowie uroku. Pora jest unieść ręce, rozchylić usta pora. Uklekłem — bo tak cicho pod cień rozkwitającego żyta odpłynęło wzruszenie moich stóp.

W te chwile jak nie błogosławić istnienia, dziwów melodii spadających w wieczór słów. Tylko ten czas jest jak opar wina. Jeszcze widzę pochyły warkocz uspionych w oczekiwaniu wiersz i cichnący szept jasnego żyta słyszę, lecz już nie mogę unieść twarzy, by zwilżyć ją o żab żalony brzeg. Gdzie pierś, ręce? Nie ma ich, są tylko dymy. — Jakim kształtem wzruszenia uniesie mnie jeszcze ta chwila — o tym chcę myśleć, lecz leczę, gasnącymi gwiazdami przemijam.

Zaklinania

Znowu ożyły moje rzeczy dawne i litują się nade mną lub mnie mrocznie wyszydają. — Wybrałeś — mówią — samotność, licz zatem na nas. Kiedy zachorujesz z nudy czy z rozpacz, zawsze na chwilę ukażemy ci dom twój przeszły i ludzi, których kochałeś. Będziesz ich mógł nawet dotknąć przez mokrą tkaninę powietrza. Przyznaj, niewieleś więcej w życiu pragnął. Miejsca masz teraz mało, ale starczy, byś ukleknął lub upadł i wołał, przeklinał, płakał. Pióro ci zabraliśmy, ty przecież umiesz pisać palcem na piasku lub jękiem przez sen. Zresztą, gdy gęstnieć będzie zmierzch i obsuną się powoli ciemności, możesz zgola wystukać twe słowa na skórze chmur. Właśnie, jeszcze ktoś odpozna twój płacz i śmiech na siódmym brzegu, siódmej gwiazdzie, jeszcze je powtórzy?



Nowoczesność, nowoczesność! — wrzeszczą — a ja wciąż dawność widzę na obłoku i nad słuchuję westchnienia zamkniętego snu. Może słońce, a może lzy ukrywam w oku. Kto mnie, kto mnie — głód i ból z ziemią ojczystą skul?

Kształt, blask na piasku rodziców dłoni. Więc i dziś nie będzie kresu męce. Przy bramce, którą cień dębu chroni, staję. Unieść powietrze, nic więcej...

Tu głosy w mgłę niosą się jak chóry. Mowę ojca znów, śmiech matki słyszę. Nasz dom. Mech kwitnie, odpiera chmury. Krzyknę, upadnę w ciszę.

Więc tak już będzie do końca losu, na oczach trzeba nieść choć grudkę ziemi tamtej. To ból, nie słowa patosu. I tego nic już nie odmieni.



wych opowiadań wyrabiała sobie poglądy o jego życiu i niebezpieczeństwie, na jakie był stale narażony. Gdy długo nie wracał, trapiły ją koszmarnie sny, budziła się z krzykiem, złana potem, roztrzęsiona.

22 Lipca, w Święto Odrodzenia wpadł do domu jak bomba. Jego dziobata po przebytej ospie, brzydka twarz jaśniała.

— Patrz — wołał od drzwi, pokazując przypięty do marynarki medal. — Za walkę z bandami. Tylko ja jeden dostałem.

Udawala radość chcąc mu sprawić przyjemność. Patrząc jednak na srebrny krążek z wizerunkiem orła, myślała: Czemuż nie dano mu w nagrodę kilku tysięcy złotych? Nie ma ubrania. Ten medal nie pasuje do tej podartej, wytłuszczonej bluzy. Jak on się obdarł, jak! brudny! Poglądziła dłonią po szorskiej jak szczecina brodzie.

Przed pierwszym sierpniem wyjechał chronić osadników obejmujących gospodarstwa w Kormanicach, Aksmanicach, Sólcy. Przyrzekł, że zjawi się za tydzień. Nie wrócił nigdy. Zginął. Pocisk przeszył mu płuco. Zanim furmanka dowieziono go do szpitala stracił resztki krwi i życia. Pochowano go z honorami.

Minęło 20 lat. Obsypał się i zarosły trawą mogiły na przemyślnym cmentarzu, lecz żyje pamięć o tych co zginęli za własne ludową.

ZBIGNIEW ZIEMBOLEWSKI



RYŚ. J. SIENKIEWICZ

Cecylia Błońska

Aczkołwiek „Matysiakowie” nie są westernem

Mimo iż nasze dzieci uważają wspomnienia o początkach radia za równoznaczne z tym jako byśmy byli rówieśnikami... pierwszej maszyny parowej, wypada się przyznać, że wcale dobrze pamiętamy pierwsze lata polskiej radiofonii. Ze nietrudno nam jest przywołać w pamięci obraz ojca czy matki z zacięciem wsiadającego do słuchawki detektora i nas niecierpliwie domagających się, by też dopuszczono nas do słuchania.

Wobec oszalałej kariery telewizora, nieograniczonych możliwości szklanego ekranu, zdolnego przeniesić wprost do wiejskiej izby dżungla z całą egzotyką, najnowszym westernem, w dodatku podzielnym na dogodne serie, radio niepostrzeżenie przechodzi do rzedu sztuk dawno odkrytych, tradycyjnych. Czy oznacza to, że przeżywa swój zmierzch?

Chyba nie. Świadczy o tym stale wzrastająca liczba rejestrowanych radiobonów, mnogość i różnorodność produkowanych nowych aparatów radiowych, raz po raz pojawiających się na naszym rynku, aż do tych, które nasze najmłodsze wrażliwe na modę pokolenie z uznaniem komentuje za lekką, jakoby francuska linia obudowy, nie mówiąc już o nowościach radiowych programów.

Poprzezając na lapidarnym stwierdzeniu, że radio jakie jest takie jest (ale jest), warto by może zastanowić się nad kontynuacją rodzaju literackiego, który na polskiej antenie, bez przesady świecił triumfy, utrzymując się od lat międzywojennych.

Mam tu na myśli z tamtego okresu powieści radiową — Boguszewskiej „Anielcia i życie”, Kuncewiczowej „Dni powszednie państwa Kowalskich”.

Jeśli „Anielcia i życie” pisana była dla radia tradycyjna technika powieści, autorka nader rzadko wtracała tylko od siebie coś w rodzaju roboczych wskazówek dla radiowych odtwórców (np. w tym momencie bohaterka uśmiecha się, kartkuje książkę itp.), to Kuncewiczowa dała już świadomie do wytworzenia dystansu między autorką ułożoną z narratorem a parą młodych, zakochanych, zagubionych w wielkiej Warszawie Kowalskich — Pawełka i Ireny.

„Dni powszednie Kowalskich” nadawane na antenie w regularnych odcinkach w latach 1936—37 z miejsca stały się pozycją szeroko komentowaną. Radjowi Kowalscy byli tak sugestywni w swej powszedniości, w zwyczajnych troskach, w zachłannej miłości młodego małżeństwa, w tuzinkowych smutkach i skromnych radościach, że nierzadko — nieczym dobrych znajomych — szukali się ich wśród warszawskiego tłumu, jej w modnym wtedy zielonym kapelusiku z piórkiem, wędziennej kobiecym niepokojem, zawsze spierającej przybawiającej na umówione spotkanie pod szarym ponurym gmachem NBP, Kowalskić dalece c h w y c i l i, że po zakończeniu powieści radio otrzymało mnóstwo listów o dalszy ciąg; autorka podjęła więc dalej sprawę Kowalskich. Odszukała ich, osadzając tym razem w malutkim mieszkanku wraz z dzieckiem, z sekutnicą teściową, z całym balastem powszednich, zwyczajnych problemów.

Zarówno Kowalscy, jak i Anielcia z powieści Boguszewskiej, odbijali w sobie niepokój swego czasu. Wszyscy troje sprawiali wrażenie niepewnych swej skromnej egzystencji, wręcz o s a c z o n y c h. Anielcia Siemiatkowska wraz z matką prowadząca ubożuchną prywatną wypożyczalnię książek, ma swój jakże krótkutki szczęśliwy moment w stolicy, gdy jako utleniona blond, już nie Anielcia, lecz wykwintna Nelly awansuje na kierownika biura, korzysta z odrobiny przywilejów tzw. wyższych sfer. Ale równocześnie ten mały urzędnik jest terenem nieustannych redukcji, ostrej, bezpardonowej walki silniejszych przeciwko słabszym i, co już zupełnie jasno osadza te powieści w realiach epoki i tam Anielcici i tysiące innych bezbronnych wobec zwartej siły tej kliki, wypierają sanacyjni pułkownicy, jacyś nieokreślonej rangi wojskowi, owe ponure, sanacyjne marionetki, opanowujące wówczas, pozycję po pozycji, cywilne instytucje.

Nauczyciel Kowalski, górujący nad swoją żoną wykształceniem, inteligencją, gdzieś jaka dostrzeża w większości swych uczniów w warszawskiej szkole, rażąca niesprawiedliwość społeczna, na którą w sposób nieświadomy, naiwny zali się młodzieńca Kowalska, zdolny jest tłumaczyć nie tyle określonymi warunkami politycznymi, ile tym, że ludzie są źli. Bardzo rzadko Kowalski oskarża wprost „zmienioną” układ polityczny — jako źródło obojętne krzywdy, i raz tylko, wskazując na faszyzm w Hiszpanii, wspomina o wojennej zagładzie zagrażającej tamtemu światu.

„Matysiakowie”, którzy pod względem formy najbardziej już ewoluują w kierunku radiowego słuchowiska (nie ma tam narratora, zespół autorów jest anonimowy, fikcja jakoby to było rzeczywiste mieszkanie zamieszkałe przez warszawską rodzinę, podtrzymywana jest z wielką konsekwencją ze swoimi radiowymi poprzednikami mają pewne cechy wspólne. Wszędzie akcja toczy się w Warszawie, i Anielcia, i Kowalscy.

Matysiakowie nie są zakrojony na miarę bohaterów westernu, ich był daleki jest od filmowo-przygodowych

wydarzeń. Powszedniość — oto co łączy naszych „Matysiaków” z ich radio, wymi antenami z okresu międzywojennego.

W przeciwieństwie do aury otaczającej Anielcici i Kowalskich, inny jest klimat „Matysiaków”. W swoim skromnym, aczkołwiek nieubogim mieszkanku na Dobrej, Matysiakowie są absolutnie pewni swojej egzystencji. Nie jest to bynajmniej równoznaczne z perspektywami niezwyklej prosperity, nadzieją na wspaniałości, które cudownym sposobem los (nie grają nawet w totka) winien im wrzucić na sromiankę przed żmudnie remontowanym mieszkankiem. Głowa rodu Józef Matysiak, ceniony pracownik warszawskiej fabryki, jest człowiekiem o wysokiej świadomości społecznej. Małym intrygom, osobistym ansom, zachłannym ambicjom, umie on, i to w sposób przekonujący, przeciwstawiać ludzkie, rozumne racje. Nie jest to sensat skłonny do abstrakcyjnych rozważań, lecz człowiek żywy, praktyk, dla którego wzniosłe wytyczne, zasadnicze hasła mają przede wszystkim rację wówczas, gdy potwierdzają się w życiu. Akceptując je rozumem czy sercem, Matysiak potrafi z uporem i konsekwencją dążyć do tego, by istotnie stały się celem i treścią poczynań w fabryce, w której pracuje, w radzie miejskiej, gdzie pełni funkcje radnego, w organizacji związkowej.

Ten sam ład cechuje go w życiu osobistym. Kobiecej chwilejności, gderliwej niezaradności swej żony — Heleny, radiowy Matysiak przeciwstawia prosty, pełen życzliwości i humoru, męski hart ducha. A że zgodnie z umownością tego rodzaju literackiego w światowej radiofonii, bohaterowie radiowych powieści nie starzeją się w ogóle lub też posuwają się w latach niesłychanie powoli, Matysiak zwany Józefem w scenach rodzinnych, stanowi chyba ideał wybornego męża, energicznego ojca, bynajmniej nie safanduly, człowieka współczesnego (fakcie śmiało np. próbuje on sięgnąć po wykształcenie, podejmuje jakieś studia i z równą odwagą rezygnuje z nich, stwierdzając, że przerastają jego niemłode sity).

Nietrudno odgadnąć, że na starym Matysiaku spółka aktorska skupia swą sympatię, swój dramatyczny wysiłek, dla niego konstruuje dynamiczne spiecia, mocne sytuacje. Szczególnie charakterystyczna, zwiędła, wybornie aktorsko rozegrana była taka scena w jednym z niedawnych odcinków, gdy w mieszkanku na Dobrej zjawia się mityczny Goździkiewicz, b. oficer armii podziemnej, rzekomy sprawca śmierci brata Matysiaka w okresie okupacji. Rzecz wyjaśnia się: był niesłusznie oskarżony, zbieg fatalnych okoliczności zaciągnął nad jego dobrą sławą. Tłumaczy sprawę zwiędle, po żołniersku, z hamowanym gniewem, nieomal pasja. Matysiak widzi swoją pomyłkę, po tylu latach zapiekięgo żalu skłonny jest zmienić swoją opinię o tym człowieku, chce nawet biec za nim, cofać zię słowa itp.

Pozbawiona na ogół wielkich przygód codzienność Matysiaków jest, analizując dotychczasowych 541 odcinków, na ogół pogodna, przez nich afirmowana. I oni przecież mogliby się zabić i a c z a własnym samochodem, wysiłać na kupno wielkiej lodówki, modnejszy sprzęt. Mogliby wyciągać od Wisi — żony ich starszego syna — pracującej w dziale zagranicznej obsługi „Orbisu” połyskliwe plotki o wykwinnym życiu cudzoziemców, mogliby się czuć pokrzywdzeni tym, że sami nie odbywają wielkich podróży. A oni tymczasem nawet dzwonnka na drzwiach nie posiadają. A mimo to, czy może właśnie dla całej skromności tego wnętrza stanowiącego tak znakomite tło dla ich skromnych, ludzkich dylematów, wszystkie ankiety przeprowadzone przez redakcję Studiów i Oceny Programu Polskiego Radia (ich wyniki szczegółowo analizuje Józef Mayen w książce „Radio a literatura”) potwierdzają, iż zarówno mieszkanko na Dobrej, jak i jego mieszkańcy żyją swym autonomicznym życiem wyobrażni radiosłuchaczy, którzy Matysiaków stawiają w rzędzie najatrakcyjniejszych audycji.

Może tajemnica popularności, przy wszystkich utyskiwaniach na płacliwość Matysiakowej, przy celnych złośliwościach dywanikowych „Zagryziaków”, stanowiących parodie opowieści o rodzinie z ulicy Dobrej, tkwi właśnie w tej pogodnej afirmacji powszedniości?

Fakt, że na apel rodziny „Matysiaków” wielka społeczność radiosłuchaczy w rodzinnym zrywem stanęła do budowy obszernego domu dla starców, zrealizowała ją bez sromianego ognia, a następnie wyposażyła, hołubi, pamięta o jej pensjonariuszach, stanowi pewien sprawdzian żywotności odcinkowej sagi rodu Matysiaków. Nie ma w niej wykwinnych starszych panów, którzy by na lwy z eksportowa sliwowica, z wykwinna amunicja, bo Matysiak z prymitywna wędką od czasu do czasu idzie na ryby, a jego najdalsza podróż to w nasze Bieszczady. Nie ma też pożądlivych marzeń o wili z ogródkiem, nie występuje sławny prezes, niechybnie balansujący nad kryminałem. Bo w tej powieści, która gdyby drukowano zajęłaby już chyba kilka tomów, nie ma raczej piąsaczyn dwuznacznych. Na tak jednoznaczne pojmowanie dobra i zła, rygorystyczne rozgraniczanie honoru od

hańby, odwagę do zadowolenia płynącego z dobrze spełnionego obowiązku, z ludzkiej pomocy świadczonyj bliźniemu, istnieje widocznie zwyczajnie z a p o t r z e b o w a n i e u milionów radiosłuchaczy.

Jeśli znakomita pisarka Maria Kuncewiczowa, rozpoczynając ongiś swoją opowieść o dniach powszednich pisała, iż chce „rozplotkować przez radio pod słuchane rozmowy. Żeby ci, którzy rozpacza nad własnym ubóstwem i ci, którzy małość swego życia uważają za haniebny wyjątek we wspaniałych dziejach ludzkości — żeby ci właśnie zostali pocieszeni” — to trawestując owo radiowe motto, autorzy „Matysiaków” mieliby chyba prawo powiedzieć, że tworzą, by podnieść na duchu tych, którzy może zdają się zażenowani, że nie poddali się frustracji, że nie czują się wyalienowani, że wolni są od snobizmu, że mają po prostu odwagę być sobą...

Gdy tylko jestem w domu w sobotni wieczór, z zainteresowaniem słucham skromnych perypetii Matysiaków. Niewątpliwie mielizny tekstu, naiwności niektórych sytuacji, zdolny mi jest nagrodzić znakomity język polski — którym zauważacie to — posługują się bohaterowie Matysiak Story. Na odczłot pukania do drzwi (ciągle zapominam zaistniałać dzwonek), nie wyłamam nerwowo radia i nie otwieram tomu Steinbecka, w poplochu rozkładając go na stole...

O Wrocławskim Festiwalu Muzyki Polskiej

Radziecki tygodnik „Niedziela” przynosi informacje o ostatnim Festiwalu Muzyki Współczesnej we Wrocławiu. Autor przypomniał, że spośród 40 zaprezentowanych utworów, 10 stanowiły prawykonywania. Na szczególne uznanie — zdaniem autora — zasługują „Sonety Petrarki” Romualda Twardowskiego, „Półkój na ziemi” Juliusza Łuciluka, „Symfonia” Tadeusza Natanson, a także utwory kameralne Jadwigi Szajnal-Lewandowskiej i Zbigniewa Ciechana.

Norweski głos o polskiej dramaturgii

W tych dniach telewizja norweska nadała w swoim programie film telewizyjny Zdzisława Skowrońskiego w reż. Jerzego Antczaka pt. „Mistrz”. Największy dziennik norweski „Aftenposten” pisze m. in. na marginesie tego pokazu: „Dzięki filmom, pantomimie i gościnnym występom polskich zespołów teatralnych użyskaliśmy ogólny obraz polskiej sztuki

Eksport i import książek w roku 1966

O eksporcie i imporcie książek w 1966 r. oraz o wstępnych zamierzeniach na br. mówi dyrektor Biura Książek „Ars Polona” — Oskar Koźmiński.

— Eksportujemy nasze książki zarówno w języku polskim, jak i w wersjach obcojęzycznych. Do krajów socjalistycznych wysłaliśmy w 1966 r. ok. 1100 tys. egzemplarzy książek. W eksporcie tym przeważa książka dziecięca wydawana przez Naszą Księgarnię i Biuro Wydawnicze „Ruch”. 10 proc. całego eksportu do krajów socjalistycznych stanowią książki naukowe, ok. 25 proc. — beletrystyka, reszta zaś — to głównie albumy.

Wśród książek dziecięcych szczególnym powodzeniem cieszyły się książki ilustrowane (m. in. przez Janusza Grabińskiego, Zbigniewa Rychlickiego, Stefana Witwickiego, Mieczysława Piotrowskiego, Olę Siemaszkową), a jeśli chodzi o tytuły — to wszystkie trzy części „Misia Uszatka” Czesława Janczarskiego i „Apojelka i jej osiołek” Marii Krueger.

W Związku Radzieckim bardzo popularne są podręczniki do nauki języka polskiego (Wiedza Powszechna), 6-języczny słownik chemiczny (WN-T), którego sprzedaliśmy 5 tys. egz., a także książki medyczne i różnego typu wydawnictwa o charakterze poradników praktycznych.

Do krajów kapitalistycznych wyeksportowaliśmy w ub. roku 166 tys. egzemplarzy polskich książek w języku polskim i w obcych. W tym eksporcie więcej niż połowa przypada na książki naukowe, ok. jedna trzecia na beletrystykę, a reszta na albumy, mapy, przewodniki itp.

Z beletrystyki najczęściej sprzedajemy dzieł naszych klasyków — Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa i Krąszewskiego, a ze współczesnych — Jarosława Iwaszkiewicza, Kazimierza Brandysa, Pawła Jasienicy i Sławomira Mrożka.

Jeśli chodzi o import — to z krajów kapitalistycznych sprowadziliśmy łącznie 500 tys. egz. książek. W krajach socjalistycznych zakupiliśmy ok. 3400 tys. egz. książek,

głównie ze Związku Radzieckiego.

Plan na ten rok przewiduje dalsze zwiększenie eksportu tak do krajów kapitalistycznych, jak i socjalistycznych. M. in. zawarliśmy umowy na edycję w wersjach obcojęzycznych książek polskich pisarzy. Wydajemy „Faraona” Prusa — 15 tys. egz. w języku bułgarskim, 30 tys. w jęz. niemieckim, 20 tys. w rosyjskim. Przewidujemy wydanie w 30-tysięcznym nakładzie „Potopu” Sienkiewicza w języku węgierskim i 20 tys. egz. w „W pustyni i w puszczy” po niemiecku.

Jeszcze o naszym udziale w ubiegłorocznych targach i wystawach zagranicznych: uczestniczyliśmy w wiosennych i jesiennych targach lipskich, w targach książki w Belgradzie, we Frankfurcie nad Menem. Kontynuowaliśmy akcje kiermaszy książki polskiej w Związku Radzieckim i Czechosłowacji. Brałszy również udział w targach książki w Toronto połączonych z kiermaszem książki polskiej. Kiermasze te z roku na rok przynoszą lepsze wyniki, co świadczy o wzrastającej popularności książki polskiej w Kanadzie i o coraz bliższej łączności tamtejszego ośrodka polonijnego z krajem.

Rozmawiała:

BARBARA KRYŃSKA

3 mln abonentów TV

72 proc. obszaru kraju zamieszkałego przez 86 proc. ludności znajduje się w tym roku w zasięgu telewizji. Przewiduje się, że liczba posiadaczy odbiorników TV wzrośnie o blisko pół miliona — tak że w końcu 1967 r. osiągnie 3 mln.

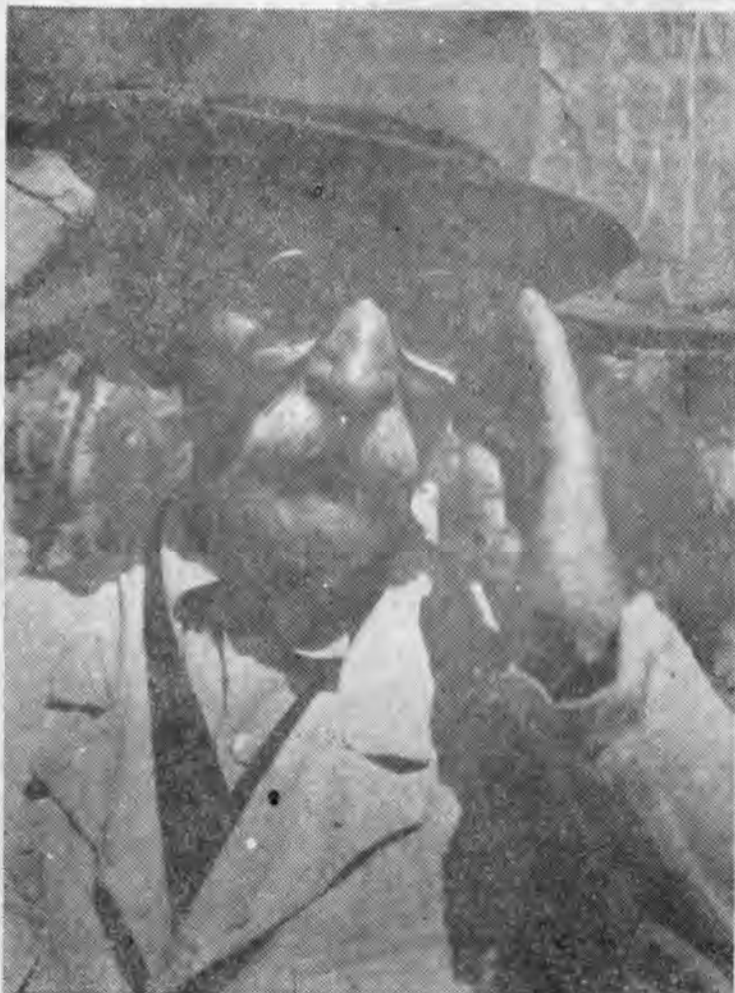
Główna uwaga skierowana zostanie na rozbudowę i modernizację bazy technicznej. W kraju działa obecnie 8 ośrodków nadawczych TV i 18 stacji telewizyjnych. W br. nowe nadajniki otrzymają: Opole, Szczecin, Zyrardów (woj. łódzkie), a w Gdańsku zostanie zainstalowany nadajnik rezerwowo. Dla zapewnienia dobrego przesyłania programów planowane jest zwiększenie liczby stacji retransmisyjnych małej mocy (do ok. 60). Rozbudowany i ulepszony będzie także system łączy kablowych i linii radiowych, służących do przekazywania programów. Usprawniona zostanie wymiana programów z zagranicą.

W tym roku telewizja nada ok. 300 filmów fabularnych i ponad 100 seryjnych. Z nowych polskich seriali zobaczymy „Klub profesora Tutki” według książki Jerzego Szaniawskiego (scenariusz i reżyseria Andrzeja Kondratiuka, w roli głównej — Gustaw Holoubek), nadany zostanie także 9-odcinkowy film dla młodzieży pt. „Niewiarygodne przygody Marka Piegusa”, na podstawie książki Edmunda Nizurkowskiego. Z serii zagranicznych kontynuowane będą: „Baron”, „Dr Kildare”, „Belphegor, czyli upiór Luwru”, wróci na mały ekran „Święty”. Planuje się także nadanie nowych seriali — m. in. produkcji francuskiej „Blekitny pociąg zatrzymuje się 13 razy” i „Robin Hood”, amerykańskiej — „Al Capone i inni gangsterzy”, „Alfred Hitchcock przedstawia”, włoskiej — „Szalony podróży kapitana Cooka” i 5 godzinnych filmów o starożytnym Egipcie pt. „Egipt”.

Bogaty i zróżnicowany będzie repertuar Teatru TV, który na swoich „scenach” (m. in. „Studio 63”) teatr poniedziałkowy, „Kobra”) zaprezentuje ok. 100 premier utworów klasycznych i współczesnych takich autorów, jak Czechow, Goldoni, Schiller, Shaw, Lope de Vega, Cwojdzinski, Lem, Mrozek, Różewicz, Tuwim, Wydrzyński. Kontynuowane będą dotychczasowe pozycje, m. in. „Listy śniwajace”, „Encyklopedia baletu”, „Sezam muzyczny”, „Szkłana niedziela”, „Giełda piosenek”, „Śpiewki stare, ale jare”. Planuje się nadanie teleturbinu o Chopinie, zorganizowanego wspólnie z telewizją francuską.

Dużo uwagi w nowym roku poświęci się programom informacyjno-publicystycznym. Szczególny nacisk położony zostanie na poprawę jakości informacji ekonomicznej i wiejskiej w „Dzienniku”. Nadawany będzie nowy program oświatowy „Telewizyjne przysposobienie rolnicze” (w ub. roku rozpoczęto już próbną serię audycji). Kontynuowane będą m. in. programy szkolne, „Spotkania z Archimedesem”, „Turnieje miast”, „Eureka”, „Pegaz”. W dalszym ciągu nadawane będą wykłady „Politechniki TV”. W końcu br. lub na początku 1968 r. odbędzie się w Polsce specjalna sesja naukowa zorganizowana przez UNESCO, która oceni wyniki pracy i doświadczenia naszej „telewizyjnej uczelni”.

(KT-PAP)



Fot. M. KOPEĆ

Na naszym ekranie

ZBIGNIEW CYBULSKI



Montgomery Clift, Mikołaj Czerkasow, Zbigniew Cybulski... Już po raz trzeci w ciągu krótkiego czasu wypada pisać mi na tym miejscu o aktorze, który odszedł od nas na zawsze. Dziś czynię to z tym większym bólem, że chodzi o człowieka, z którym związane są szczytowe osiągnięcia naszej kinematografii i duży smutak jej powojennej historii.

Nie pamiętam Cybulskiego z „Pokolenta”, filmu, w którym po raz pierwszy zadebiutował przed kamerą. Tam był przede wszystkim Łomnicki, ugruntowujący swą sławę po „Pięcie z ulicy Barskiej”, był Janeczka, czy Modrzyńska. Na drugoplanową rolę nieznanego wtedy Cybulskiego mało kto chyba zwrócił uwagę. Zapamiętałem go natomiast z

spotykane później u innych bohaterów kreowanych przez Cybulskiego — zostały gdzieś w zakamarkach pamięci. Uwierzyłem zaś w jego talent w roku 1957 po obejrzeniu filmu Juliana Dziedzińskiego „Koniec nocy”.

Rolę w tym obrazie uważa się można chyba za jego właściwy debiut filmowy, gdyż choć znany już w kręgach miłośników teatru jako aktor, reżyser i kierownik gdańskiego „Bim-Bomu” — na ekranie pozostał w cieniu swoich starszych kolegów, a i role dawano mu raczej drugorzędne.

W „Końcu nocy” opowiadającym o grupie tzw. trudnej, chuliganicznej młodzieży grał jedną z głównych ról, Romka — kierownicę i robił to z takim zaangażowaniem, że jest to najbardziej przekonująca postać tego filmu.

Postać ta była zapowiedzią dalszych interesujących kreacji, wraz z nią chyba narodził się Cybulski — aktor filmowy.

W niespełna rok później na ekranie wszedł „Popiół i diament”, a nazwisko Cybulskiego znalazło się na ustach wszystkich. Film stał się ogromnym sukcesem reżysera Andrzeja Wajdy, ale sukcesem filmu była także jego główna postać w wykonaniu Zbyszka. Maciek Chełmicki — symbol pewnego pokolenia — stał się dzięki niemu bliższy nie tylko rówieśnikom bohatera powieści Andrzejewskiego. Wszystkich oglądających „Popiół i diament” ujął swoją prawością, wysiłkiem w poszukiwaniu prawdy, ustaleniu dla siebie właściwego miejsca, głębokim przeżyciem konfliktów, w jakich się znalazł, Maciek — Cybulski stał się bohaterem młodzieży lat 1958—1959. Pamiętacie ówczesną modę? Modny był strój Cybulskiego z „Popiołu i diamentu”, modne były jego okulary, naśladowanie jego gestów, sposobu mówienia. To była zewnętrzna forma afirmacji bohatera filmu, ale za nią kryło się zrozumienie jego sytuacji i tragedii.

„Popiół i diament” przyniósł Cybulskiemu sławę w kraju i za granicą. Sława i sukces mają to jednak do siebie, że często miast osłodzić, napełniają życie swoich ulubieńców rozgorzyceniem i smutkiem. Doświadczyl tego na sobie niejedyn aktor filmowy. Oto pierwsze z brzegu przykłady: Czesław Wollejko, od którego publiczność chciała ciągle kreacji typu tej, jaką stworzył w „Młodości Chopina”, czy Tatiana Samojłowa, od której nadal oczekuje się czegoś w typie Weroniki z „Lecą żurawie”. Podobnie było z Cybulskim. Oczekiwano od niego dalszych wersji Maćka Chełmickiego lub postaci o takim samym ładunku psychologicznym. Kiedy to nie następowało, zaczęto sarkać i wyzywać. Jedni zarzucali mu rzekome powtarzanie samego siebie, inni mieli pretensje, że nie pozostaje wiecznie młodzieńczo amantem. Jeżeli przedtem nazywano go polskim Jamesem Deane, to później porównywano go z amerykańskim aktorem jedynie na zasadzie przeciwstawień.

A Cybulski grał w coraz to nowych filmach, gdyż jak sam mówił ten rodzaj aktorstwa najbardziej mu odpowiadał. Grał role główne, ale nie gardził epizodycznymi, wkładając w nie dużo wysiłku. Dlatego był równie doskonały, grając drobną rolę w „Pociągu”, czy „Rozwódów nie będzie”, jak i kreując głównego bohatera w „Salcie”. Uznawanie, jakie zyskał sobie za granicą sprawiło, że zaproszono go do francuskiego filmu „Lalka”, polskiej noweli międzynarodowego obrazu „Miłość dwudziestolatków” i szwedzkiego „Kochać”. Publiczność filmowa cenila go bardzo. Nawet ci, którym nie odpowiadał prezentowany przez niego typ człowieka, filmowy charakter, uznawali jego wysoki kunszt aktorski, sugestywność gry. Wobec kreowanych przezeń postaci nie można było pozostać obojętnym.

Kreował film po filmie, pracując jednocześnie w warszawskim teatrze „Ateneum”. Tragicznego 8 stycznia wrócił z Wrocławia, gdzie uczestniczył w realizacji filmu Aleksandra Seibora Rylskiego „Morderca zostawia ślad”, do Warszawy, na próbę w teatrze telewizyjnym. W dalszych planach filmowych przewidywano go do roli Wokulskiego w ekranizacji „Lalki”.

Międzynarodowa Wystawa Książek w Moskwie

W lipcu 1967 r. odbędzie się w Moskwie pierwsza międzynarodowa wystawa książek, poświęcona 50-leciu Rewolucji Październikowej. Wezmą w niej udział kraje socjalistyczne.

Osiągnięcia ZSRR zaprezentują wszystkie republiki związkowe, wydawnictwa centralne oraz większe przedsiębiorstwa przemysłu poligraficznego. W czasie wystawy zorganizowany zostanie międzynarodowy konkurs wydawniczy. Do konkursu mogą stanąć zbiorowe ekspozycje poświęcone tematowi „Literatura o Wielkiej Rewolucji Październikowej”. Ponadto przyznane zostaną nagrody za najlepiej wydane książki z zakresu literatury społeczno-politycznej, naukowo-technicznej, dziecięcej i literatury pięknej.

Odbywać się będą spotkania z pisarzami, poetami, artystami i wydawcami. Zorganizowane zostaną dni literatury narodowej krajów socjalistycznych i republik związkowych ZSRR. (K1-PAP)

Autor zbiorku (1903—1935) urodził się w Sienawie, a do gimnazjum chodził w pobliskim Jarosławiu. Należał do kręgu Czechowicza. Znal się z Płetakiem, Zagóreckim i in. Warto poznać liryki tego mało znanego ziomka.

Frans Emil Sillanpää: SŁOŃCE ZYCIA. Poznań 1966. Wyd. Poznańskie. s. 180, cena 14 zł.

Autor (1888—1964) — fiński powieściopisarz i nowelista jest laureatem Nagrody Nobla. „Słońce życia” to powieść o fińskim krajobrazie, słońcu i miłości. Losy bohaterów łączą się tu z pełnią lata, gdyż akcja trwa od czerwca do sierpnia. Pełna liryzmu opowieść o zakochanych.

John Roek: CZAS NADSZEDŁ. O położenie kresu walce o regulację urodzeń — propozycje lekarza katolika. Wwa 1966. PZWL. s. 164, cena 20 zł.

Jest to głos amerykańskiego lekarza katolickiego na temat regulacji urodzeń, jak również o sposobie podjęcia do tego zagadnienia człowieka wierzącego. Ciekawa publikacja.

Marek Korewo: MEDYCINA DZISIEJSZA. Wwa 1966. PZWL. s. 232, cena 25 zł.

Książka popularnonaukowa napisana z chęcią podania czytelnikowi postępu medycyny, jej stanu dzisiejszego, a nawet nadziei na przyszłość. Zamierzenie to powiodło się autorowi, czytelnik sięgnie po nią chętnie.

Juliusz Owidziak, Ryszard Serafinowicz: GRZYBAWA, ZABAWY, QUIZ. Wwa 1966. Iskry. s. 358, cena 18 zł.

Poradnik, który powinien znaleźć się w każdym klubie, świetlicy w ogóle placówce kulturalnej, stanowi bowiem swojego rodzaju kompendium wiedzy na te-



Nie sposób nie zauważyć poprawy, jaka się dokonuje od paru tygodni w krakowskich kronikach telewizyjnych. Zniknęły niesławnej pamięci spotkania z ludźmi może i zasłużonymi, cenionymi, ale mówić nie umiejącymi, znikną komentarze stojące na poziomie przedszkola dziennikarskiego, zniknęła wreszcie monotonia tematyczna. Dziś kronika żyje, jest autentycznym skrótem wydarzeń, nie zamyka się tylko do spraw własnego zaścianka, ale komentuje wydarzenia, o których głośno w kraju, ba, nawet w świecie, jak to było choćby w przypadku Tenety — jednego z pierwszych dziennikarzy oglądających na własne oczy katastrofę florencką. I właśnie podsuwa nam coraz częściej ów komentarz, inteligentnie przede wszystkim napisany, sprawnie podany, poparty nawet czasem (o co w telewizji naszej w ogóle trudno) ciekawym materiałem filmowym. Miłoś do człowieka dobrane moc napisane o sąsiadach; szkoła to jednak wielka, że to bliskie sąsiedztwo w ogóle nie troszczy się o materiał z województwa rzeszowskiego, że do tej pory nie zahacza w swoich wędrówkach o ten teren, z którym kontaktuje się coraz częściej w ramach programu Polski południowej.

O jednym z takich kontaktów, zda mi się, muszę tu napisać, bo jeszcze nie ochłonęła z tej złości, jaka mnie opadła w ostatni sobotni wieczór, kiedy to o godzinie 19 krakowska tv zapowiedziała, że z okazji nakręcenia przez nią tysiąca filmów — dokumentów, kilkadziesiąt z nich zaprezentuje jako wybór co ciekawszych wydarzeń, związanych z krakowskim grodem i mających miejsce w rzeczywistości roku 1966. Zgrabny komentarz, który wygłosił do sprawy Brunon Rajca — scenarzysta zachęcił do oglądania; więc weszliśmy w ten miniony rok przyjaźnie usposobieni do poczynań krakowskiej tv. Filmy jak filmy: jedne mniej, inne więcej ciekawe, jeszcze inne zupełnie nudne, płaskie, bezbarwne — w sumie jednak do wytrzymania, zważywszy, że sam pomysł programu nie najgorszy. Nieco mnie denerwował co prawda naiwny aktorsko sposób podania tekstu przez panią Teresę Herzig-Zakulską, no, ale Jaroszewska pewnie by czytała i tak nie chciała, więc boje przestaje toczyć o lektorke. I pewnie by się ten pro-

gram wcale nie znalazł na tym miejscu, które zwykłym poświęcać rzeczom bądź bardzo złym, bądź bardzo dobrym i potrzebnym, gdyby nie to, że niespodziewanie zakończył się Jackiem i Agatką. Prawdę mówiąc dla widza rzecz była dość komiczna, mniej zapewne dla twórców programu, który tak beceremonialnie przerwał Warszawę. Toteż owi, spiorunowawszy zapewne centralne władze telewizyjne, dopięli swego i jeszcze raz od początku, już po Monitorze, przegląd roku 66 nam puścili. Oglądaliśmy nieco ogłupiali po raz drugi dwie trzecie filmu, wysłuchawszy uprzednio niemalże barokowej mowy spikera wyjaśniającego zdanie, gdy nagle przy niewidzianej partii materiału, przyszło oświecenie, że w tym samym czasie Grzegorz Lassota puszcza w resztę regionów Polski swego „Pegaza” — najkulturalniejszą i najbardziej dynamiczną z kulturalnych mieszanek filmową zdarzeń. I tego dla widza Polski południowej, przynajmniej, było trochę za wiele!

Naturalnie, że doceniamy trud twórców, naturalnie, że potępiamy praktyki bezsensownego przerywania materiału „dobranocką”, naturalnie, że sporo w nim było momentów, których żesmy ciekawi byli — ale, przeźród, nie za cenę „Pegaza” — programu, na który się czeka długie dni, który jest jednym z najciekawszych z całej produkcji telewizyjnej. Krakowska tv zdecydowała za nas, w ambicjach swoich rozszerzona, a myśmy się dali zwiariować i zapamiętali te wydarzenia krakowskie roku 66 nazbyt trwale! I kiedy później przez bity kwadrans chrypiąca nam Belinda Lee na tle widoczków ośnieżonych kapliczek, kościółków i całego fotograficznego piękna ziemi krakowskiej (bo niestety telewizja krakowska nie przewidziała, czym tego „Pegaza” zastąpi w o-wym trzecim kwadransie) — uczyła była morderca, a komplet przyjemności pełen.

Dlatego też dziś uważam za stosowne pouczyc się w swoich 7 dniach i zrewanżować się, naturalnie w o wiele skromniejszej formie, pewnym własnych racji sąsiadom. Może na przyszłość nie zechcą obciążać za błędy programowania centralnego Bogu ducha winnych widzów Polski południowej. I może zdadzą sobie sprawę, że prawo do takich praktyk nie zostało im przez nich dane.

Po tych słowach niewiele mi już miejsca zostało na inne, którymś pochwalić chciałam Divertimento op. 4, co to nie wiadomo dlaczego przybrało tę nazwę, będąc kontynuacją stręgo Kaareta Starszego Panów i to kontynuacją w najczystszej formie, bo nawet ze starym zestawem wykonawców. Podobnie bysnęto nam utopię pogodnego humoru, inteligentnie spręparowanym kalamburem i nieco Polciomirski i wuj Kobiela! i nawet przebaczyliśmy telewizji, że poszło w miejsce zapowiadanej szeroko szopki noworocznej. Chciałam pochwalić także nową stałą pozycję niedzielną „Spotkanie z pisarzem”, którą zapoczątkował Zenon Kosidowski oraz pomysł 4-odcinkowego widowiska Jana Domagałki „Rudy”, bo przecież należy się coś naszym nastolatkom, co nie byłoby bajką czy teatrem przedszkolnym. Boję się tylko, czy sensowne było to powierzenie ról głównych młodocianym wykonawcom, bo aktor-sko nie wypadli zbyt świetnie...

Korysty na

O sobie i sztuce

Przygotowując rolę angażuję w nią całą swoją wyobraźnię. Rozbieram tekst na czynniki pierwsze. Szukam przyczyn wiodących do skutków, które nam przedstawia. Przede wszystkim sprawdzam, szukam ludzi podobnych, obserwuję ich w życiu w przeróżnych sytuacjach, staram się poznać ich mentalność.

Zaczynam od sceny kluczowej, esencjonalnej, najbardziej charakterystycznej dla danej postaci. Np. w „Popiole i diamentie” była to scena, w której Maciek oddaje broni mówiąc: „Ja nie chcę więcej zabić”.

— Jak określiłby Pan związek aktora z jego narodowością?
— Jest on złożony od niej tak jak drzewo od swoich korzeni. Drzewo bez korzeni obumiera.

— Przeraza mnie słowo „bohater-szczynna”. Nie znam go. Z dzieciństwa pamiętam tylko słowo bohater. Nie lubię postaw antybohater-skich. Bohaterstwo jest córka uczciwości, tej na co dzień, o którą nam wszystkim tak bardzo chodzi. W wielu filmach drażniły mnie elementy narodowej „samoironii”, ale tłumaczyłem je psychologicznym podłożem gorczy wielkiego niezszczęścia, jakie dotknęło nasz kraj, rozumiałem to jako formę buntu.

Kiedyś jeździliśmy po najbardziej odległych wsiach i miasteczkach, gdzie nie docierały ani teatr, ani kino. To były piękne chwile, kiedy prości ludzie, po występach organizowanych czasami na dworze, zapraszali nas do swoich domów, prosili o dalszą recytację, czesowali chlebem i mlekiem. Wtedy rozumiałem, jak pięknym odbiorcą sztuki są prości ludzie, jak doskonałym recenzentem może być polski chłop czy robotnik. To był mój pierwszy kontakt z widownią. Urzekło mnie to.

„Grając człowieka zdenerwowanego, trzeba grać człowieka chcącego się opanować. W scenie miłosnej trzeba unikać grania miłości. Aktor musi zrobić coś, co mu będzie przeszkadzało w zrealizowaniu tej miłości, coś co zabija tę atmosferę” (książka „Polscy twórcy filmowi o sobie”).

(Z wywiadu dla tygodnika „Ekran”)



Pierre Boulle: OPOWIEŚCI O MIŁOŚCIERDZIU. Wwa 1966. KIW. s. 108, cena 10 zł.

Pierre Boulle jest autorem powieści (sfilmowanej) pt. „Most na rzece Kwai”. W omawianym tomie prezentuje nam swoje powiastki, które wzorem Twaina zwracają się przeciwko różnym formom obłudy, zakłamania, przeciw sknerstwu itp. Dobrą prozą.

Jan Baudouin: UTWORY DRAMATYCZNE. Wybór. Opracowała Maria Wielaner. Wstęp Zbigniewa Raszewskiego. Wwa 1966. PIW. s. 400, cena 35 zł.

Pozycja z serii Teatr Polskiego Oświecenia zawiera cztery sztuki zupełnie już dziś zapomnianego pisarza (żył w latach 1735—1822). Ciekawa pozycja teatrologiczna. Zawiera przypisy oraz bibliografię.

izabela Bielicka: DZIECKO ROŚNIE. Wwa 1966. PZWL. s. 142, cena 7 zł.

Lekarz pediatra pisze w dwóch pierwszych rozdziałach o aktualnych dla każdej rodziny problemach miłości, dyscypliny i autorytetu. Rozdział trzeci i czwarty mówią o osobowości dziecka w wieku 4—8 lat.

Bronisław Ludwik Michalski: WIERSCZE WYBRANE. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie. s. 140, cena 16 zł. Wstęp: S. Potasiński.

„Trzech startów”, gdzie w ostatniej noweli grał kolarz — Leśniaka. Film był mizernutki, ale sylwetka młodego kolarza, jego upór, a zarazem jakaś rezerwa, pewne cechy

Na uprost

RZESZÓW
NA EKRAKIE

Realizatorom tej krótkometrażówki o Rzeszowie obiekt ich zainteresowania wyraźnie się nie podobał. Zrobili więc wszystko co mogli, by udowodnić za pomocą kamer, że mieli rację. Usłyszeli również obiegową opinię, że Rzeszów to duża wieś lub wiejskie miasto i zawieźli jej bez reszty. Stąd też w reportażu filmowym pt. „Rzeszów” czołówka zaczyna się wprawdzie od bliskiego zblazowania się neonów, co ma świadczyć o wielkomiejskich ambicjach miasta, lecz później najwięcej uwagi poświęca się wsi w Rzeszowie. Oglądamy najpierw wysypujący się z dworca tłum przyjezdnych z pobliskich wiosek, później kamery obrabiają ze wszystkich stron plac targowy, aż do znużenia ukazując szary jarmarczny ludź w chuścicach i waciakach, prezentujący powrozy, kłódki, garnki, koła do wozów i drewniane kosiaki... Jedną trzecią filmu poświęcono targowisku, troskliwie eksponując elementy brzydoty i szarzyzny. Jeszcze później oglądamy na ekranie gromadę ludzi ze wsi, tłoczących się w sklepach, błędzących bezradnie po ulicach i spożywających posiłki w barach samoobsługowych. Po centrum miasta płaczą się chłopskie furmanki; przy kioskach z piwem popijają parafialni uwodziciele. Jeśli nawet widzimy w reportażu hale fabryczne, to dowiadujemy się z komentarza, że pokazano je tylko po to, by stwierdzić, iż 50 proc. załogi pochodzi ze wsi i mieszka na wsi.

Ta wiejskość Rzeszowa łączy się nierozdzielnie na ekranie z jego brzydotą. Troskliwie eksponuje się odrapane mury, zacieki, brudne podwórka, jakieś rumowiska i źle ubranych, brzydkich ludzi. Nawet ujęcia w planie ogólnym pejzażu miasta nie zmieniają wrażenia. Nowe osiedla widziane z lotu ptaka straszą jak księżycowe krajobrazy. Brak im jakiegokolwiek oprawy w zieleni, w drzewa, krzewy, trawniki; w zakomponowaną i zagospodarowaną przestrzeń między nagimi bryłami bloków.

Osobliwa perfidia realizatorów reportażu polega na tym, że komentarz słowny mówi co innego a kamery co innego. W komentarzu nie brak uznania, wielu komplementów, entuzjastycznych stwierdzeń o przeżyciach, rozwoju i wielkomiejskości Rzeszowa. W zestawieniu jednak z tymowym zdjęciem do ironiczności. Nie mam zamiaru brać za złe filmowcom ich sądu o naszym mieście, mimo iż sąd to aż nazbyt jednostronny. Reporter ma prawo wypuścić najistotniejsze, jego zdaniem, cechy jakiejś rzeczywistości, a pomijając inne, nietypowe. Zresztą Rzeszów jest istotnie miastem „wiejskim” i miastem brzydkim. Ale twórcy filmu zbyt ułatwili sobie sprawę — wiejskości Rzeszowa szukali w dzień jarmarczny na placu targowym, podczas gdy należało jej szukać w obyczajach i gustach stałych mieszkańców miasta, we wnętrzach mieszkań czy nawet w kawiarniach i restauracjach. Nie ulega bowiem wątpliwości, że większość rzeszowian to niedawni mieszkańcy wsi.

Natomiast brzydotę Rzeszowa łatwo usprawiedliwić, ale trudno znieść. Miasto jest od lat poligonem działań budowlanych i urbanistycznych. Wciąż burzy się stare domki w centrum, buduje „plombę”, rozszerza ulice, zmienia nawierzchnie; powstają nowe trasy komunikacyjne i urządzenia komunalne. W takim chaosie trudno uniknąć rumowisk, nieporządku, nawet brudu. Nie trzeba nam również pokazywać z helikoptera przedmieścia Budy czy podwórek wokół rynku i na Bałdachówce, bo znamy jeszcze brudniejszą i brzydszą rejon Rzeszowa. Wierzmy, że przedzieli czy później znikną pod naporem nowych osiedli i gmachów.

Ale Rzeszów jako całość urbanistyczna choruje na brak zieleni. Nawet w tych osiedlach, które powstały przed kilku laty, dotąd nie zagospodarowano przestrzeni między blokami, nie pomyślano o skwerach, zielonych, a przede wszystkim o drzewostanie. Wszędzie leżą jakieś stopy żwiru, desek — rozkopana ziemia, nie uprzągnięte resztki materiałów budowlanych stanowią bardzo ponurą oprawę osiedli. Wiele nowych domów od lat czeka na tynki (np. wieżowce przy ul. Lenartowicza — zresztą cały rejon wokół nich zamieniono na składowisko gruzu zwożonego tu z całego miasta). Stąd to

wrażenie księżycowych pejzażów, gdy filmowcy ukazują nam ogólny widok Rzeszowa z lotu ptaka. Może przedsiębiorstwo „Zieleń miejska” czeka aż trawa i krzewy same urosną na tych żwirowiskach i rumowiskach? A przecież mogłyby się tym zająć komitety blokowe — mieszkańcy osiedli sami w czynnie społecznym mogliby uporządkować otoczenie swych domów, gdyby użyczono im sprzętu, dostarczono projektów zieleni, a przede wszystkim drzew i krzewów na zasadzenie. No, ale przedtem trzeba tak zorganizować pracę w czynach społecznych na terenie miasta, by nie marnotrawić ludzkiego wysiłku i nie lekceważyć niczyjej dobrej woli, jak to było np. przy budowie parku nad Wisłokiem.

Można mieć do filmu „Rzeszów” sporo pretensji, ale należy się również jego realizatorom sporo wdzięczności. Pokazali nam brzydotę Rzeszowa i uświadomili, że to nasza wina. Gorąco zachęcam do obejrzenia tego reportażu ojców miasta, architektów, urbanistów i do wypracowania wniosków z tego co zobaczą. Może wreszcie dzięki temu ruszy z miejsca sprawa rozbudowy zieleni w mieście, które w tej dziedzinie zajmuje jedno z ostatnich miejsc w Polsce. Jak dotąd bowiem z zapalem wycinamy resztki drzew i liczymy na to, że matka natura sama braki uzupełni. JOTGIEL.



CZESŁAW ŚWIĘTONIOWSKI — dyrektor WDK w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Z labiryntów pseudotechniki

Za jedyne... 280 złotych

Redaktorze! Sprawa, o której chcę napisać przypomina mi żywo pewną (rzekomo nawet prawdziwą) scenkę u przedwojennego fotografa, który w swoim atelier wykonywał na oczekaniu 6 sztuk zdjęć legitymacyjnych za jedyne 5 złotych. Pewien chłop, któremu pilnie potrzebne były owe zdjęcia i z ciężkim sercem wysupiał na nie 5 złotych, po ich otrzymaniu i oglądnięciu zdjęć zapytał fotografa: — Panie, to niby ja jestem?

Na to fotograf odpowiedział spokojnie — a cóż byście chcieli za pięć złotych? Może portret oprawiony w ramki?

Istotnie. Owych 5 złotych dla fotografa nie przedstawiało większej wartości, dla chłopca zaś, który z trudem zdobył tak znaczną sumę pieniędzy — było to zwyczajne oszustwo.

Przypuszczam, że w pewnej mierze na tej samej zasadzie opiera się obecnie sprzedaż tzw. amatorskich 4-tranzystorowych odbiorników ra-

diowych do montażu w elementach, pod nazwą „Zrobię to sam!”. Za jedyne... 280 złotych, w oparciu o obszerną instrukcję i załączony w niej schemat, nawet uczeń szkoły podstawowej może sobie sam zmontować mały radiodiodowy tranzystorowy. Na pewno będzie musiał nad tym popracować kilka lub kilkanaście godzin, ale efekt nie lada, gdy z małego pudełeczka popłynie melodia skoczno-go mazurka czy kujawiaka...

W tym właśnie sek, że się napracuje i... niczego nie usłyszy.

Na prezent noworoczny kupiłem, redaktorze, swojemu 12-letniemu synowi taki właśnie efektowny kompiek. Nie anonimowy — broń Boże produkcję. Na opakowaniu widniał bowiem „szumny”, choć dość dziwny napis: Dystrybutor: Biuro Zbytu Sprzętu Teleradiotechnicznego, Warszawa, ul. Nowogrodzka 50, a później dodatek: „Kompletowała Rzemieślnicza Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Wołominie”.

Ktoś kiedyś powiedział, że... każdy ma swój Wołomin. Miałem go, niestety, i ja, kiedy syn, razem z dwoma starszymi kolegami, uczniami III klasy Technikum Elektrycznego zmontował odbiorniczek. Napracowali się chłopcy co niemiara, uważnie, część po części, ściśle według instrukcji montując całość. Podłączyli odpowiednią baterijkę elektryczną i... nic. Odbiornik milczał jak zaklęty. Sprawdził dokładnie jeszcze raz. Wszystko się w nim zgadzało, z wyjątkiem tego... że nie grał.

A może pechowo nabyłem w Składnicy Harcerskiej przy ul. Jagiellońskiej w Rzeszowie komplet niezbyt dobrej jakości? Gdzie tam — zapytani o przyczynę znajomi pokiwali smętnie głowami i powiedzieli: — więc i ty dałeś się nabrać? Przecież powszechnie wiadomo, że jeszcze ani jeden z tych zmontowanych 4-tranzystorowych odbiorniczków nie zagrał.

— Wobec tego, po co się je produkuje? A co, chciałbyś może mieć odbiornik radiowy za 280 złotych? Z choinki się zerwałeś, czy co? Z góry, przecież wiadomo, że to lipa!...

No, tak — powiedziałem, ale przecież cena 280 złotych... Kto ma tyle pieniędzy na wyrzucenie w błoto? A poza tym, czy to jest wychowawcze — zalecać młodzieży montowanie odbiornika pod szytym hasłem „Zrobię to sam” — jeśli z góry wiadomo, że efekt będzie żaden?

Nie sądzę, by kiedykolwiek jeszcze mój syn przystąpił z takim entuzjazmem do montażu innego odbiornika radiowego. Nawet gdyby był z gwarancją firmową. Nie sądzę też, by po takim zawodzie nabrał ochoty do majsterkowania i z entuzjazmem zapisał się np. do kółka młodych techników.

Więc po co, redaktorze, wypuszcza się na rynek taką „lipę” za jedyne 280 złotych? Napisałem o tym do Was w przekonaniu, że może PIH, albo władze szkolne zainteresują się całą sprawą.

P. S. Milczący odbiornik 4-tranzystorowy gotów jestem przekazać do muzeum brakorobstwa, o ile znany jest Wam adres takiej placówki. (J)

„LOT” i „ORBIS”
propagują polską sztukę

Polskie biuro „Lot-u” i Orbisu” w Sztokholmie otrzyma w najbliższym czasie nowy wystrój wnętrza, a placówki „Lot-u” w Paryżu i Atenach — nowe elementy dekoracyjne wewnątrz. Odpowiednie projekty przygotowują obecnie nasi artyści — współpracownicy przedsiębiorstwa „Pracownie Sztuk Plastycznych”. PSP otrzymało też zlecenie na zaprojektowanie i wykonanie rzeźb dla Ambasady Polskiej w stolicy NRD.

Dzięki udziałowi naszych artystów w urzędowaniu i zdobieniu wnętrz polskich biur za granicą placówki te reklamują nie tylko usługi swoich przedsiębiorstw, lecz także propagują w świecie polską sztukę współczesną — dzieła malarzy, rzeźbiarzy i grafików, umiejętności architektów.



W miejscowości Holyoke w stanie Massachusetts zmarły w dniu 8 bm. na serce najstarsze w Stanach Zjednoczonych siostry syjamskie: Margaret i Mary Gibb. Siostry były zrosnięte plecami i miały jeden układ krążenia. W swoim czasie objeżdżały one Europę z ekipami estradowymi, cyrkami itp.

Margaret i Mary zabrano do szpitala kilka dni temu z powodu choroby jednej z nich (Margaret). Stan zdrowia obu pacjentek pogorszał się z dnia na dzień, a lekarze oświadczyli, że nie można ich operacyjnie rozdzielić i zachować w ten sposób Mary przy życiu.

Na zdjęciu: słynne amerykańskie siostry syjamskie: Margaret i Mary Gibb.

CAF — Unifax

Zdarzenia
tygodnia

9 bm. odbyło się pierwsze posiedzenie, powołanego uchwałą Prezydium MK FJN w Rzeszowie na wniosek Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, komitetu organizacyjnego ogólnopolskiej wystawy pod nazwą „II Jesienne Konfrontacje”.

Ustalono założenia wystawy, pomyślanej jako przegląd malarstwa związanego z człoowiekiem i jego działalnością. Otwarcie wystawy nastąpi w listopadzie br. i będzie połączone z I plenerną ekspozycją rzeźby przed Domem Sztuki w Rzeszowie.

12 bm. Dyskusyjny Klub Filmowy przy Wojewódzkim Domu Kultury zorganizował wieczór, poświęcony zmarłemu tragicznie znakomitemu aktorowi, Zbigniewowi Cybulskiemu.

Program wieczoru wypełniła prelekcja na temat twórczości Zb. Cybulskiego oraz montaż z filmów „Popiół i diament”, „Pociąg” i „Salto”.

Od 9 bm. w szkołach średnich, ogólnokształcących i zawodowych naszego województwa prowadzone są tzw. audycje szkolne, organizowane przez Państwową Filharmonię w Rzeszowie. Audycje noszą tytuł „O zmienności języka muzycznego — objaśnianie stylów w muzyce”. Wykonawcami są: Zofia Stachurska sopran i A. Miller — fortepian (Kraków), Stefan Ząbek i Marian Gadawski — koncertmistrz Filharmonii, prelekcje — Zbigniew Bujarski, kierownik literacki rzeszowskiej Filharmonii.

Wojewódzki Dom Kultury w porozumieniu z Wojewódzką Komisją Związków Zawodowych w Rzeszowie zorganizował z okazji odbywającego się w Mielcu i Stalowej Woli w dniach od 10 do 15 bm. Ogólnopolskiego Przeglądu Związkowych Teatrów Dramatycznych spotkanie Wojewódzkiego Klubu Reżysera Amatora, Członkowie klubu oprócz uczestnictwa na pokazie spotkali się z członkami jury, co stanowiło doskonałą okazję do dyskusji i zapoznania się z problematyką pracy z zespołami.

Przed kilku dniami w krągankach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie otwarto wystawę pt. „Pamiętki obchodu Tysiąclecia Państwa Polskiego w województwie rzeszowskim”.

Na wystawie eksponowane są medale pamiątkowe, wybite z okazji obchodów rocznic miast, zaproszenia, plakaty oraz inne dokumenty. (Wszystkie eksponaty są darem C. i Fr. Błońskich z Rzeszowa). Osobny dział stanowią znaczki, plakietki, proporzycy i chusty, upamiętniające imprezy zorganizowane przez PTTK.

W Tarnobrzegu odbyło się w ubiegłym tygodniu posiedzenie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, na którym oceniono dotychczasową działalność Wydziału Kultury.

Działający przy Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie Amatorski Klub Filmowy „Rzech” obchodzi 10-lecie działalności. W związku z tym w dniu dzisiejszym, tj. w sobotę odbędzie się spotkanie członków klubu.

Korzystając z okazji życzymy „Rzechowi” więcej wlotów niż upadków i długiej taśmy.